

Z pierwszej ręki/dokument:  
Leszek Zborowski



# 10.000.000 Kowalskich

**Od długiego czasu przyglądam się dyskusji na temat przeszłości naszego narodowego symbolu, Lecha Wałęsy. Coraz częściej pojawiające się oskarżenia o jego kontakty ze służbami bezpieczeństwa, a co za tym idzie coraz większe wątpliwości co do prawdziwości jego kombatanckiego życiorysu, spowodowały zmianę stanowiska jego najzagorzalszych obrońców. Obawiając się przebudzenia z przysłowiową „ręką w nocniku”, zwolennicy wodza rozwijają intensywnie opinie, że jeżeli nawet coś tam w młodości przeskrobał, to jego późniejsze działania mają niejako niwelować te drobne skazy w życiorysie. Ku mojemu zdziwieniu ten sposób myślenia staje się wspólny dla ludzi, którzy poza tym, często nie mają raczej wiele wspólnego ze sobą.**

**Przekonanie** o nietykalności symbolu, czyli Wałęsy jest, zaskakująco rozpowszechnione. Trafiałem niedawno na wypowiedź senatora Piesiewicza, który stwierdził: *... nawet jeśli Wałęsa podpisał jakieś dokumenty w latach 70 i nawet jeśli wziął jakieś pieniądze, to jego późniejsze zasługi w pełni zmyły ten grzech*. Przyznam, że nie obchodzi mnie, czy Wałęsa podpisał jakikolwiek kawałek papieru. Obchodzi mnie za to bardzo, czy wziął jakieś pieniądze. A to z tego prostego powodu, że z podpisania papieru nie wynika żadna konkretna szkoda, natomiast wiemy wszyscy, że bezpieka nie miała zwyczaju rozdawania pieniędzy za nic. Jeśli chodzi o jego oczyszczające zasługi, to tu właśnie jest „pies pogrzebany”. O to właśnie toczy się cały spór. Każdy ma prawo do swej opinii. Aby jednak miała ona jakąś wartość, musi się brać ze znajomości faktów, a nie, jak to często bywa, bazować na oklepanych sloganach. Niezwykle popularne stało się dzisiaj przekonanie, że wypowiedanie opinii na temat przeszłości Wałęsy powinno być w jakiś szczególny sposób wyważone, gdyż dotyczy symbolu. I ta teoria bazuje na tym samym założeniu, że jego nic nieznaczące, drobne przewinienia młodości zostały zmyte przez niezwykle, późniejsze zasługi. Przede wszystkim te tak zwane drobne przewinienia jak dotąd nie zostały przez nikogo, a szczególnie samego zainteresowanego, nazwane po imieniu. Ponadto wracamy znów do sprawy widzenia tego, co wódz miał później dokonać. Zajmę się tym w dalszej części. Jeśli chodzi o wyważanie sądów o innych, to wydaje mi się zrozumiałe, że w każdej sytuacji kiedy wypowiadamy opinie o kimś, powinny one być dobrze przemyślane. Nie znaczy to jednak, że muszą one być pozytywne. I tak, jak oczywiste jest, że opinie nasze powinny być wyważone, tak powodem ich łagodzenia nie może być fakt, że dotyczą one symbolu. Jeżeli chcielibyśmy tworzyć w Polsce kastę nietykalnych i nie podlegających krytyce symboli, to bieganie z ulotkami było zupełnie zbyteczne. Należało zostawić komunistów w spokoju. W końcu, dla kogo może stanowić jakąkolwiek różnicę, czy wyniesiony ponad prawdę symbol nazywa się Albin Siwak czy Lech Wałęsa.

Wielu ludzi dawnej opozycji od lat próbuje opowiadać niepopularne prawdy o wodzu. Dla wielu są one jednak trudne do przyjęcia, gdyż burzą zbudowaną już dawno legendę. Niektórzy przyzwyczaili się do miłego uczucia głaskanego nią naszego narodowego ego. Problem w tym, że legendę zbudowano na kruchym fundamencie kłamstwa. Czas niszczy fundament i legenda ma kłopot z utrzymaniem swej pozycji. Możemy w swym zaślepieniu podierać ten wałący się pomnik coraz większą ilością kłamstw albo po prostu spojrzeć na legendę obiektywnie i nadać jej właściwy wymiar.

Solidarność to nie Wałęsa, lecz dziesięć milionów Kowalskich i choć wódz od początku stawał znak równości pomiędzy swoją osobą a tym wszystkim co udało nam się osiągnąć, to jednak on sam kojarzy mi się nie tyle z robotniczą wersją Ghandiego, ile z cwaniackim przykładem Nikodema Dyzmy. Wracając do sprawy tak chętnie ostatnio przywoływanych zasług wodza, które mają wymazywać jego „drobne potknięcia”, postanowiłem i ja zabrać głos. Opisanie wszystkiego co przyszło mi zaobserwować w bezpośredniej bliskości z naszym wielkim rewolucjonistą, wymagałoby napisania poważnych rozmiarów książki. Wybrałem więc jako przykłady wydarzenia, które ukazują prawdziwe, jakże typowe oblicza wodza.

Muszę zacząć od pewnego zastrzeżenia. Otóż nieprzejadnani obrońcy Wałęsy mają w zwyczaju używanie argumentu, że wszelka krytyka jego osoby pochodzi od niedocenionych byłych działaczy opozycji, których pozostawiono na uboczu, z dala od oklasków i dyplomów. Żalony to argument. Niemniej jednak wyjaśnię od razu, że chociaż jestem jednym z tych, którzy mieli okazję przejść całą drogę od WZZ-tów przez strajk, Solidarność, aż do podziemia stanu wojennego, to nie czuję się ani niedoceniony, ani odsunięty. Nigdy nie miałem żadnych politycznych aspiracji. Jestem zadowolony z życia, ciesząc się zarówno dniem dzisiejszym jak i wspomnieniami dni, które minęły. Szczególnie wspomnieniami tamtych jakże ciekawych i intensywnych przeżyć. Mój mocno alergiczny stosunek do osoby Wałęsy nie wynika więc ze zgorzknienia czy rozczalenia, lecz zwyczajnie z doświadczenia, które przyszło mi z nim mieć.

**Nie** pamiętam dziś dokładnie, kiedy pierwszy raz spotkałem Wałęsę. Jeśli się nie mylę, natknąłem się na niego na jednym z licznych WZZ-towskich spotkań w mieszkaniu pani Anny Walentynowicz. Wbrew temu, co się dziś popularnie sądzi, spotkanie Wałęsy w tamtym czasie nie stanowiło wydarzenia godnego specjalnego zapamiętania. Był postacią zupełnie bezbarwną i nieciekawą. Nie miał specjalnie sprzecznych poglądów, które mogłyby stanowić podstawę dla chociażby średnio interesującej rozmowy. Był częścią naszej niewielkiej grupy kolporterów i drukarzy WZZ-tów. To, co dawało się łatwo zauważyć nawet niezbyt uważnemu obserwatorowi, to wyraźny dystans między nim samym a resztą tych, których określam drugim szeregim związków. Pozycja Wałęsy w grupie była dość dziwna. Cieszył się on dużo większym poparciem liderów niż kolegów obok siebie. Przyczyna tego stanu rzeczy była bardzo konkretna. Wolne Związki kierowały swą działalność do środowiska robotniczego zakładów pracy Trójmiasta. Tymczasem ani jeden robotnik nie firmował wówczas tej grupy. W pewnym momencie postanowiono tę sytuację zmienić dopisując do składu komitetu założycielskiego między innymi nazwisko Wałęsy. W tym samym czasie dopisano również nazwisko Janka Karandzieja. Różnica między tymi dwoma polegała na tym, że Karandziej nigdy nie używał tego faktu dla upiększenia swego opozycyjnego życiorysu. Ani jeden, ani drugi nie miał z założeniem WZZ Wybrzeża nic wspólnego.

Wałęsa był dla liderów WZZ-tów wymarzoną – jak im się wówczas wydawało – symbolem na związkowy plakat reklamowy. Był robotnikiem, członkiem opozycyjnej grupy, wielodzietny i, co było bardzo istotne, wyrzucony ze Stoczni Gdańskiej. I chociaż byli inni dużo bardziej aktywni, nawet tacy, którzy w stoczni zatrudniali się tylko po to, by prowadzić tam swą działalność, to jednak Wałęsa miał wszystkie te potrzebne cechy w jednym worku. To czyniło go przydatnym nawet jeżeli jego działalność nie wychodziła daleko poza fakt samego bycia.

Dystans pomiędzy Wałęsą a resztą brał się z powoli, ale stale rosnącego braku zaufania. Ta postawa znacznej części grupy była z kolei naturalną reakcją na jego dziwne zachowania w wielu istotnych sytuacjach. Przyszły wódz nie należał do najaktywniejszych w grupie. Nie wykazywał nadmiernego zainteresowania większością akcji ulotkowych. Jego udział w akcjach obrony innych związkowych kolegów był również mocno ograniczony. Nie może więc dziwić, że w swoich życiorysach koncentruje się głównie na opowieściach o organizowaniu obchodów kolejnych rocznic grudnia 1970. Przez całe lata ta część jego działalności stanowiła centralny punkt jego opowiadań. To zaś stanowi nieprawdopodobną ironię samą w sobie. Najlepiej świadczy o tym zdarzenie, które zamieniło wyczuwalny wcześniej dystans pomiędzy Wałęsą a większą częścią kolporterów w poważny kryzys w tych stosunkach.

Po jednym ze spotkań w mieszkaniu Joanny i Andrzeja Gwiazdów, Wałęsa poruszył temat grudnia 1970. Wyznał niespodziewanie, że podczas zatrzymania przez służbę bezpieczeństwa krótko po tragicznych wypadkach, rozpoznawał pokazywanych mu na zdjęciach i filmach stoczniowych kolegów. To wyznanie było szokiem nawet dla tych, którzy już wcześniej odnosili się do niego z pewną rezerwą. Zapytany dlaczego to robił, odpowiedział, że kiedy go przesłuchiowano, jeden z esbeków doprowadził go do okna wychodzącego na dziedziniec budynku bezpieczeństwa. Miały się tam znajdować ogromne ilości ludzi i sprzętu do tłumienia ulicznych manifestacji. Wałęsa powiedział, że zrobiło to na nim tak wielkie wrażenie, iż doszedł do wniosku, że dalszy opór nie ma żadnego sensu. Całe to wyznanie zostało zarejestrowane na taśmie magnetofonowej i spowodowało niezwykle zamieszanie w grupie. Ci, którzy tego wyznania nie słyszeli, domagali się wyjaśnień. Taśma była tematem rozmów jeszcze kilka miesięcy po całym wydarzeniu. Zasadą w Wolnych Związkach było proste, lecz słuszne założenie, że każdy z nas może znaleźć się w sytuacji, w której aby wydotać się z chwilowej opresji będzie zmuszony podpisać taki czy inny kawałek papieru. Zakładano jednak, że dla bezpieczeństwa innych, osoba, która znajdzie się w takiej sytuacji powiadomi o takim wydarzeniu kolegów z grupy. Problem w wypadku Wałęsy polegał na tym, że nie chodziło o podpisanie jakiegos dokumentu lecz o przypisywanie nazwisk do twarzy ludzi poszukiwanych przez bezpiekę. Z tej decyzji wynikały bardzo konkretne, często niezwykle surowe konsekwencje dla tych, których nazwiska otrzymała za jego sprawą służba bezpieczeństwa.

Nie może więc dziwić, że pytany przez ostatnie lata o współpracę z bezpieką Wałęsa koncentruje się na opowiadaniu o podpisaniu jakiegos mało ważnego papieru. Swoją drogą nie było to jedyne wyznanie wodza dotyczące tej właśnie sytuacji. Liderzy grupy przekonywali, że jeśli Wałęsa sam postanowił o tym opowiedzieć, zapewniając przy tym, że było to działanie krótkie i dawno już zakończone, to należy o tym zapomnieć, spoglądając na naszego kolegę przez pryzmat jego działania w późniejszym okresie. Jakże aktualnie dziś brzmiący argument. Z tą tylko różnicą, że wówczas nie



znaliśmy jeszcze późniejszych zasług przyszłego wodza. Reszta grupy nie miała wobec tego założenia specjalnych zastrzeżeń pod warunkiem, że sam zainteresowany wyjaśni szczegóły wobec całej grupy. Tego Wałęsa nigdy nie zrobił, zostawiając wiele pytań bez odpowiedzi. To z kolei pozostawiło odczuwalny niesmak.

I chociaż w codziennych kontaktach nie przekładał się na okazaną niechęć, to jednak powodował, że wspomniany dystans stale rósł. Za sprawą późniejszych poczynań Wałęsy stał się niezwykle wyraźny podczas przygotowań do strajku i osiągnął rozmiary kryzysu w czasie jego trwania.



Pierwszy od prawej — Janek Karandziej, pierwszy od lewej, to ja — Leszek Zborowski; w środku — Bogdan Borusewicz.

Zamieszenie spowodowane jego wyznaniem trwało długo i pogłębiło przepaść dzielącą go od innych. Wyznanie Wałęsy o współpracy z bezpieką w tej właśnie formie i w tym czasie miało jeszcze jeden istotny efekt. Zmieniło nasze spojrzenie na jego zaangażowanie w organizowanie obchodów grudniowych rocznic. Bo jak rozumieć sytuację, w której „bohater” najpierw denuncjuje kolegów, a potem dzielnie organizuje obchody kolejnych rocznic ich aresztowań?

Cała sprawa z czasem straciła na ważności pod wpływem następujących po niej wydarzeń. Pozostała jednak częścią całego pakietu oceny Wałęsy przez jego opozycyjnych kolegów. I nie powinno to nikogo dziwić. Podobnie jak nie powinno dziwić, że opowiadają o tym Anna Walentynowicz, Krzysztof Wyszkowski, czy Andrzej Gwiazda. Niezależnie od tego, jakie przypisuje im się intencje, to wyznanie Wałęsy jest faktem, a co za tym idzie faktem jest jego w tamtym czasie współpraca z bezpieką. Chyba, że założymy, iż wszyscy, którzy to wyznanie słyszeli, zmówili się pow-

odowani szalem zazdrości i nienawiści. Problem w tym, że jest to całkiem niemała grupa świadków i trzeba by prawdziwego spisku by taką teorię przyjąć za możliwą. Poza tym, sam Wałęsa nigdy jednoznacznie, publicznie temu nie zaprzeczył. Po prostu dlatego, że zaprzeczyć temu nie może. W końcu Wałęsa nie wypadł z próżni. Był częścią grupy kilkudziesięciu osób o przeróżnych poglądach i politycznych koncepcjach. Jeżeli więc prawie wszyscy oni pamiętają jego postawy niemal identycznie, to powinno to być wystarczającym powodem do potraktowania tych opinii bez niepotrzebnego zacietrzewienia.

Przez z górą dwadzieścia lat jedną odpowiedź wodza na stawiane zarzuty i pytania stanowiły wściekle ataki na tych, którzy odważyli się je stawiać. Kiedy w końcu, w ostatnim okresie, stanął wobec konieczności wypowiedzenia się na temat swoich kontaktów z bezpieką, tak się w swych kłamstwach pogubił, że zaczęły one przypominać brednie człowieka obłąkanego. Składając doniesienie na audycję Radia Maryja, Wałęsa pisał między innymi, że: *przeciwnik dążył do tego, by odebrać mu zaufanie i odwrócić od niego przyjaciół i druhów walki*. Stwierdził też: *Rozpuszczano kłamstwa o rzekomej współpracy, o tym, że nie przeskoczyłem muru, że przywiozła mnie motorówka Marynarki Wojennej, co opowiada A. Walentynowicz...* Przede wszystkim muszę w tym miejscu poddać w wątpliwość poczynałość wodza, bo jeżeli *kłamstwa o rzekomej współpracy* pochodzą od niego samego i stały się znane za sprawą jego własnego wyznania, to coś tu poważnie nie gra. Poza tym, czy mówiąc o *odwróceniu od przyjaciół i druhów walki* ma on na myśli tych, których przy wsparciu bezpieki wyrzucał z takim zapalem z Solidarności, którą oni tworzyli, czy może tych, z którymi przed sierpniem 1980 tak *dzielnie walczył z komuną*, a potem wspólnie z bezpieką organizował bojówki, by napaść ich w drukarni własnego Związku? Zaczynam się w tym wszystkim trochę gubić. A może to Wałęsa pogubił się jakieś dwadzieścia czy trzydzieści lat temu decydując, kto jest jego wrogiem, a kto druhem.

### Lipiec 1980

przyniósł wiadomości o strajkach w Warszawie i Lublinie. Zakończyły się one jednak szybko podwyżkami płac. Niemal natychmiast dominującym tematem WZZ-towskich spotkań stała się sprawa możliwości wywołania i przeprowadzenia strajku, który dałby większe, trwalsze efekty. Im bardziej zbliżał się termin realizacji tych zamiarów, tym częściej spotykaliśmy się w mniejszych grupach. Rozdzielano role poszczególnym grupom czy nawet osobom. Doskonale zakonspirowana drukarnia Piotra Kapczyńskiego przygotowywała ulotki, które miały być rozprowadzone w porannych kolejkach elektrycznych wiozących do pracy stoczniovców Trójmiasta.

Ulotki zawierały trzy zadania. Pierwsze domagało się podwyżki płac, bez której nie można było nawet myśleć o strajku. Drugie mówiło o przywróceniu do pracy w stoczni zwolnionej Anny Walentynowicz. To zadanie miało wywołać u robotników poczucie solidarności. Wreszcie zadanie upamiętnienia ofiar Grudnia 1970. Drugi punkt nieprzypadkowo nie zawierał nazwiska Wałęsy. Przez dwadzieścia pięć lat kronikarze dzielnego wodza rewolucji opowiadają o niemal przyrodzonej, dziejowej misji, jaką Wałęsa miał od tamtej chwili spełniać. Rzecz w tym, że sprawy wyglądały nieco inaczej. Wałęsa jako WZZ-towski robotniczy symbol rewolucjonisty idealnie pasował do umieszczenia jego nazwiska na ulotce, jeśli nie zamiast to przynajmniej obok Anny Walentynowicz. Problem polegał na tym, że on sam się po prostu na to nie zgodził. I nikt nie miałby do niego żalu, gdyby powodem była obawa o ewentualne represje ze strony władz. Nikt nie miał obowiązku być bohaterem, a umieszczenie swego nazwiska na takiej ulotce nie było sprawą banalną. Rzecz jednak w tym, że on odmawiając udziału w przygotowaniach do strajku postanowił przekonywać nas o niesłuszności decyzji o jego podjęciu. W jednym takim przypadku doszło do poważnej kłótni, kiedy Wałęsa próbował przekonać kilku WZZ-towskich kolegów, że nie powinni brać w tym przedsięwzięciu udziału. W tym momencie usunął się w ciem pojawiając się ponownie dopiero w czasie strajku. Faktem jest, że to Anna Walentynowicz figuruje na wspomnianej ulotce, a nie bohaterski Lech Wałęsa. Był on zwolniony z tej samej stoczni i jakoby za taką samą działalność. Dlaczego więc nie figurował na ulotce? Zwyczajnie dlatego, że nie chciał. Nie chciał ani swego nazwiska na ulotce, ani samego strajku. I chociaż trudno było komukolwiek mówić o tym po strajku, to jednak wiedzą o tym wszyscy, którzy byli wówczas w środku tamtych wydarzeń.

Wałęsa, wspominając swoje spóźnienie na strajk w stoczni, w sierpniu 1980 roku stosuje rodzaj przebiegłej kokieterii, gdyż sugeruje, iż był on tam oczekiwany. Nie wiem, kto tak niecierpliwie wyglądał wodza skoro, jak już wcześniej wspominałem, większość jego WZZ-towskich kolegów pogodziła się już dawno z faktem, że musi się obyć bez jego pomocy. Zresztą nie po raz pierwszy. Bogdan Borusewicz, wspominając w jednym z wywiadów swoją rozmowę z Wałęsą na kilka dni przed wybuchem strajku, mówi: *...opowiadał mi cały ten scenariusz Wałęsie. Przekonujemy go, że się uda*. Jeżeli od kilku tygodni WZZ-towskie spotkania poświęcone były jednemu tylko tematowi, a przygotowania do strajku były już zakończone to dlaczego trzeba było przekonywać do czegokolwiek tego, który

miał ten strajk prowadzić? W końcu wszystko, co przez tych kilka tygodni bezpośrednio poprzedzających strajk przygotowano, nie zrobiło się samo. O tym, jak intensywny był to czas, może opowiedzieć więcej niż dwadzieścia osób. Żadnej z nich nie trzeba było do niczego przekonywać. Oni już dawno wiedzieli, jakie odegrają role, gdzie i z kim. I faktem jest niezaprzeczalnym, że nie było wśród nich Wałęsy. Dziwne więc, że ten, który miał przyjść, by nas wyzwolić od jarzma komunizmu, musiał być przekonywany jeszcze na przysłowiowe „pięć minut przed dwunastą”. Wałęsa już dawno pokazał plecy swoim WZZ-towskim kolegom. Żaden z nas ani go do niczego nie przekonywał, ani też na niego nie liczył. Nie wiem, czy Wałęsa próbował przed Bogdanem zachować resztkę tzw. twarzy, czy z sobie tylko znanych powodów zdecydował się w ostatniej chwili pozostać w pobliżu nadchodzących wydarzeń. Nie ma to wielkiego znaczenia, gdyż późniejsze działania Wałęsy nie pozostawiają wątpliwości, co do jego intencji. Aby je zauważyć, trzeba jednak uwolnić się na chwilę od wtłaczanego nam konsekwentnie przez dwadzieścia pięć lat obrazu wodza rewolucji, który to przy skromnej, jakby nie było, pomocy Papieża i niejakiego Ronalda Reagana obalił światowy komunizm. A wszystko to *własnymi rękami*, w przekonaniu *nie chcem, a muszę*. I tak, w poczuciu obowiązku, kiedy nadszedł czas, dokonał słynnego skoku przez stoczniowy mur, postanawiając niemal natychmiast, że będzie nam o tym przypominał nieprzerwanie przez następne dwadzieścia z górą lat. Skoro jest to jego ulubiony temat, to proponuję na chwilę się przy nim zatrzymać.

Od pamiętnego sierpnia próbuję zrozumieć, jak wytłumaczyć fakt, że zanim „słynny elektryk” dokonał akrobatycznego wyczynu, którego wołę sobie nawet nie wyobrażać, kilku jego kolegów było już w stoczni. I choć wszyscy w dużo lepszej kondycji fizycznej, zrezygnowali oni jednak z tego typu cyrkowych popisów na rzecz mniej ambitnego wejścia przez bramę. Żaden z nas, którzy znaleźliśmy się w stoczni przed wodzem, nie był jej pracownikiem. Nikt z nas nie miał jednak żadnych problemów z wejściem na jej teren. Zanim pojawili się stoczniovcy z opaskami, przy bramie była tylko regularna straż stoczniowa. Ten fakt nie stanowił zbyt poważnej przeszkody, a już po tym, kiedy przy bramie znaleźli się strajkujący stoczniovcy, sprawa stała się nawet łatwiejsza. Wystarczyło wytłumaczyć kogo się reprezentuje i po co przyszło, a dobrze już zorganizowani robotnicy prowadzili do odpowiednich osób. Ja sam przekraczałem bramę dwukrotnie, zanim po raz pierwszy pojawił się tam Wałęsa. W stoczni był już Andrzej Butkiewicz i, jak się potem okazało, kilka innych osób.

Nie pamiętam, kto pierwszy podał informację, że Wałęsa został przywieziony do stoczni motorówką Marynarki Wojennej. Faktem jednak jest, że WZZ-towscy liderzy przepytali go na ten temat w pierwszych dniach strajku, a więc nie może być mowy o zarzucanej im później zawiści jako przyczynie tych podejrzeń. Taka wersja wydarzeń pojawiła się niemal natychmiast i była jeszcze długo omawiana w WZZ-towskim środowisku. Osobiście nie mogę tego potwierdzić. Są jednak osoby dysponujące dokładnymi informacjami na ten temat. Tak czy inaczej Wałęsa znalazł się w stoczni i przyłączył do prowadzących strajk stoczniovców, z których trzej byli częścią Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Późniejsze

wypadki wydają się ogólnie znane. Wódz wniósł parę okrzyków i już po chwili był przywódcą strajku. O tym wiedzą chyba wszyscy. Nie wszyscy jednak wiedzą, co działo się potem.

Dla tych, którzy mieli już praktykę w opozycji, oczywiste było, że jedną z najważniejszych spraw było zorganizowanie informacji. Nie ulegało wątpliwości, że dyrekcja będzie próbowała dezinformować strajkujących wszelkimi możliwymi środkami, co zresztą stało się później widoczne, szczególnie w stoczniach Północnej i Remontowej. Postanowiliśmy więc uruchomić jak najszybciej stoczniową drukarnię. Była to zresztą część planu. W tym momencie Wałęsa przypomniał nam, kim naprawdę jest. Nie tylko nie pozwolił tego zrobić, ale kazał postawić straż, aby do tego nie dopuścić. Taka decyzja kogoś, kto miał ponoć wyrosnąć na opozycyjnej działalności, nie była pomyłką. Wałęsa bronił tej decyzji tak twardo, że Andrzej Butkiewicz, zwracając się do swoich związkowych kolegów, stwierdził *on położył ten strajk*. I, jak się okazało, wiedział, co mówi. Andrzej, nie mogąc dojść do porozumienia z wodzem, postanowił nie czekać na dalszy rozwój wypadków i pojechał do Stoczni Gdyńskiej, gdzie Andrzej Kołodziej rozpoczął już w tym czasie strajk. Jedną z pierwszych decyzji, jaką podjęli, było uruchomienie tamtejszej drukarni. Stamtąd przez znaczną część strajku przywożono drukowane materiały do stoczni w Gdańsku, gdzie tamtejsza drukarnia pozostawała zamknięta jeszcze przez dłuższy czas. Decyzji Wałęsy nie zmieniły nawet informacje o tym, że znaczna część przesyłanych z Gdyni materiałów przechwytywała bezpieka, a jak się później okazało, kilku kurierów zostało dotkliwie pobitych. W późniejszym czasie próbowano nawet przesyłać wydruki drogą wodną. Po krótkim czasie wraz z innymi członkami WZZ-tów – Sylwestrem Niezgodą i Kazikiem Żabczyńskim – rozpoczęliśmy szkolenie stoczniovców w prymitywnym sposobie wydruku prostych ulotek, stosując metodę ręcznych wałków i ludzkich mięśni. Wszystko to przy zamkniętej, dobrze wyposażonej stoczniowej drukarni. Nawet po zakończeniu strajku nie udało nam się otrzymać wyjaśnienia decyzji Wałęsy. Stało się natomiast jasne, że był to dopiero początek jego wręcz nieprzejednanej wojny przeciwko drukowaniu wszelkiej prasy niezależnej.

Nikt z przygotowujących sierpniowy strajk nie mógł przewidzieć, jak potoczą się wydarzenia. Nie sposób było ocenić realne szanse na choćby najmniejszy sukces. Nadzieje dawały doświadczenia lipcowych wydarzeń z Warszawy i Lublina oraz widoczne nas troje społecznego niezadowolenia. Krótkie strajki poprzedzające

Gdański Sierpień pozwalały również przewidzieć pewne sytuacje i tym samym lepiej się do nich przygotować. Przede wszystkim można było przewidzieć ewentualną reakcję dyrekcji stoczni. Nie było wątpliwości, że w razie wybuchu strajku będzie ona dążyć do jak najszybszego załatwienia sprawy przy pomocy większej czy mniejszej podwyżki płac. Ten temat był przerabiany przez nas tak dokładnie, że nie było w grupie osoby, która nie wiedziałaby jak miały wyglądać ewentualne negocjacje. Czego należało w nich unikać i na co uważać? Jeżeli więc przyjąć, że Wałęsa był do roli przywódcy strajku tak starannie przygotowywany, to powinien ten właśnie temat znać lepiej niż inni. Tymczasem wszystko, co się w pierwszych dwóch dniach strajku wydarzyło, było absolutnym zaprzeczeniem tego, o czym przez tyle dni rozmawiano i co wydało się dla nas wszystkich oczywiste. Osobiście jestem przekonany, że nie był to przypadek. Wałęsa spieszył się z podjęciem rozmów z dyrekcją chyba bardziej niż ona sama. Jeszcze przed samym wejściem do budynku dyrekcji wódz dostał od nas ostatnie instrukcje. Wszystko na próżno.

### Wałęsa

położył strajk w trzecim dniu postępując całkowicie wbrew wszelkim wcześniejszym uzgodnieniom. Patrząc na jego postawę w okresie bezpośrednio poprzedzającym strajk, nie miałem nigdy wątpliwości, że nie było w tym pomyłki. I nie jestem w tej opinii osobniony. Zresztą zdanie to podzielała większość WZZ-towskiej grupy w swoich ocenach bezpośrednio po zakończeniu strajku. Pewne próby tłumaczenia postawy Wałęsy pojawiły się dopiero kilka lat później. W mojej opinii bardziej jako zamazywanie prawdy przez wodza niż logiczny argument. Bogdan Borusewicz, udzielając wywiadu jedenaście lat po tamtych wydarzeniach, tak przedstawiał sprawę upadku strajku: *Wałęsie sytuacja wymykała się z rąk, bo taka była*. *W piątek dyrektor stoczni zarządził komitetowi strajkowemu, że jest niereprezentatywny, bo złożony z ludzi młodych*. *Wybrano więc delegatów wydziałowych — wielu ludzi dyrekcji*. *Zaraz dalej dodaje: dyrektor miał przykaz kończyć jak najszybciej i zgodził się na wszystko*. Jak więc mówić o presji ciężącej na Wałęsie, jeżeli dyrektor miał takie właśnie wytyczne. Przypisywana Wałęsie bezradność w tamtej sytuacji zupełnie nie pasuje do innego opisu sytuacji. Otóż Jerzy Borowczak, jeden z tych młodych stoczniovców WZZ-tow-

ców, którzy rozpoczęli strajk, tak wspomina jego początki: *I wtedy z tej koparki zobaczyłem, jak od bramy kolejowej biegnie Lechu. Cały zziębnięty wpadł na koparkę, złapał mikrofon i krzyknął: a mnie pan poznaję? I było już po Gniewcu*. *Mogłem odsapnąć, resztą zajęł się już Wałęsa*. *Rozsmarował tego Gniewcha jak masło*.

Po jednej stronie mamy więc żelaznego Lecha, zdecydowanego na wszystko rewolucjonistę, przygotowywanego od dawna do przewodzenia społecznemu wybuchowi. Po drugiej rozsmarowanego jak masło dyrektora stoczni, którego wytyczne jasno nakazują godzenie się na wszystko. Jak więc zrozumieć wynik tych negocjacji? Przez dwadzieścia pięć lat Wałęsa opowiada światu o tym, jak nawoływał o przyniesienie kamieni na budowę pomnika dla upamiętnienia ofiar Grudnia 70. Jak więc mógł zapomnieć poruszyć sprawę



trzeciego postulatu? A może po prostu nie przeczytał ulotki, którą podobno przygotowywał. Jeżeli nawet uznać, że nie mógł tej sprawę załatwić, to jak zrozumieć fakt, iż zapomniał o zwolnionej z pracy Annie Walentyłowicz? Przecież obrona prześladowanych robotników była absolutnie podstawowym celem działalności WZZ-tów, których według własnych słów miał być filarem i siłą napędową. Zresztą nie mówimy tu o jakimś mało konkretnym przypadku. Chodziło w końcu o jedną z najbardziej aktywnych działaczek Wolnych Związków, wyrzuconą z pracy tuż przed emeryturą za swoją konkretną działalność opozycyjną. Działalność, której nawet mała cząstka nie stała się nigdy udziałem wielkiego wodza. No cóż, mógł przecież zapomnieć. Zdarza się. W końcu rozmawiając z rozsmarowanym jak masło dyrektorem nie mógł pamiętać o wszystkich nieistotnych szczegółach. Kto chce, niech wierzy.

Kiedy w sobotę otworzył okno gabinetu dyrektora po to, by oświadczyć, że wygraliśmy strajk, dostaliśmy podwyżkę i możemy iść do domu, stało się dla nas jasne, że sprawdziły się nasze najgorsze obawy. Niejasne było tylko, kogo dzielny wódz miał na myśli mówiąc „wygraliśmy”. Spotykam się czasami z zupełnie niedorzecznym pytaniem: co by było, gdyby nie było Wałęsy? Pytanie tak bezsensowne, że jakakolwiek próba odpowiadania na nie mija się z celem. Zadaję sobie za to często pytanie, co by było gdyby nie było dwóch odważnych dziewczyn z Ruchu Młodej Polski? Co by było, gdyby nie zamknęły w ostatniej chwili bramy i nie zmusiły modlitwą, tej ostatniej grupy stoczniovców do pozostania. Co by było, gdyby nie było Aliny Pięnkowskiej, której



determinacja spowodowała, że pozwolili się oni przekonać, iż nie mogą zostawić innych zakładów. Wielkiego wodza już to nie interesowało.

Ani sam wódz, ani jego kronikarze nie lubią wracać do tego pamiętnego sobotniego dnia. I nie dziwnego. Wałęsa strajk rozbił i natychmiast zniknął. Powstała bardzo trudna sytuacja. Do stoczni powoli wracali jej pracownicy. Przyjeżdżali delegaci innych zakładów. Wszyscy wpadali w pustkę, nie znajdując potrzebnych informacji. Sytuację próbował opanować przybyły w tym momencie Bogdan Borusewicz. Anna Walentyłowicz ponownie stanęła na wózku akumulatorowym i przemawiając do rosnącej grupy stoczniovców robiła, co mogła, aby wypełnić powstałą nagle lukę. Po jakimś czasie sytuacja wydała się w miarę opanowana. W pewnym momencie do Bogdana Borusewicza przyszła grupa stoczniovców. Jeden z młodych ludzi wydawał się nieco zakłopotany. Po chwili wahania powiedział jednak, że ludzie są zdecydowani dalej strajkować. Problem w tym, że, jak się on wyraził: *ludzie nie pójdą za babę*. Taki obrót spraw był pewnym zaskoczeniem dla wszystkich. Próbuąc zyskać na czasie wszelkimi możliwymi metodami szukano jednocześnie w pośpiechu nowego lidera.

Potrzebny był robotnik włączony w pracę opozycji, który jednocześnie potrafił znaleźć wspólny język ze strajkującymi stoczniovcami. W WZZ-tach było takich co najmniej kilku. Problem polegał na tym, że prowadzili oni w tym właśnie czasie strajki w swoich zakładach i trzeba było ich dopiero odnaleźć. Sprowadzono między innymi z Przymorza Janka Karandziewicza. Potem znaleziono jeszcze kilku innych. Decydowano, kto będzie najlepszym kandydatem.

I w tym momencie pojawił się Wałęsa. Borusewicz zażądał więc aby ten naprawił to, co zepsuł i przemawiał do ludzi, aż zapadnie decyzja, kto poprowadzi strajk. Wałęsa zdecydowanie odmówił. Byłem jednym z kilku świadków tej sytuacji. Wódz nie był już w stanie niczym nas zaskoczyć. Ktoś z obecnych nazwał go agentem. Wybuchła prawdziwa awantura. Bogdan Borusewicz był tak oburzony zachowaniem Wałęsy, że z trudem panował nad nerwami. Po trwającej dłuższą chwilę kłótni, Bogdan krzyżując przypominał wódzowi, że to właśnie jego koledzy z WZZ-tów wspierali go w ostatnich kilku latach i że jest im winien przynajmniej tyle. Miał w końcu pomóc uratować strajk, który właśnie rozbił. Wałęsa ponownie odmówił. W tym momencie całemu zjawisku przyglądała się już znaczna grupa stoczniovców. Ludzie nie byli pewni, co się dzieje. Ktoś zaczął pychać wodza na wózek, a inni zaczęli skandować jego imię. W tej sytuacji nie miał on już żadnego wyboru, jak tylko chwycić mikrofon i zacząć mówić. Krótko po tym stał się ponownie wódem, a jedynie, co można było zrobić to nie pozwolić mu rozbić strajku po raz drugi. Reszta jest już mniej czy bardziej znaną historią. Nie znaczy to, że obyło się bez incydentów. Byłem świadkiem jeszcze kilku mniejszych czy większych starć z wódem. Chociażby przy okazji kłopotów ze Stoczną Północną i Remontową, jak również za kulisami późniejszych negocjacji.

Dla większości WZZ-towców było już wówczas jasne, że tym razem mamy do czynienia z sytuacją trudną do naprawienia.

O tym, jaki był w tamtym momencie stosunek grupy do Wałęsy, najlepiej świadczą dwa znamienne wydarzenia. Niemal natychmi-

ast po zakończeniu strajku do mieszkania przy ulicy Matki Polki we Wrzeszczu zjechała większość działaczy Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Spotkanie było oddolną inicjatywą „drugich szeregow” Związków. Sytuacja była wyraźnie napięta od dłuższego już czasu, toteż zabrakło tylko tych, którzy naprawdę nie mogli się tam pojawić. Nie było zaskoczeniem, że nie przyszedł Wałęsa. Wiedział doskonale, że całe to zamieszanie dotyczyło jego osoby. W wypełnionym po brzegi mieszkaniu wszyscy obecni jednogłośnie zażądali od liderów spowodowania natychmiastowego wycofania się Wałęsy z roli przywódcy tworzącej się Solidarności. Nie ma znaczenia, czy było to zadanie w najmniejszym choćby stopniu realne. Było ono odzwierciedleniem stosunku do Wałęsy tych, którzy znali go wówczas najlepiej. Sytuacja wychodziła już jednak poza WZZ-ty i była dosyć szczególna. Z jednej strony kilkudziesięciuosobowa grupa ludzi znających wodza i jego działania, z drugiej wielomilionowy tłum przekonany, że oto spadł z nieba rewolucjonista wszechczasów. Po trwających do późnych godzin nocnych rozmowach doszliśmy wszyscy do wspólnych ustaleń. Stało się oczywiste, że opowiadanie prawdy o Wałęsie może tylko zaszkodzić sprawie. Wydawało się, że jedyne, co można było zrobić, to znaleźć się na tyle blisko, by nie pozwolić mu zniszczyć tego, co w tym właśnie momencie stawało się realne. Postanowiono więc zawiesić działalność Wolnych Związków i przejść do działania na rzecz powstającej Solidarności.

Trzeba pamiętać, że w tamtym momencie Solidarność była tylko nadzieją jednych i fałszywą obietnicą drugich. Nikt trzeźwo myślący nie miał wówczas wątpliwości, że jeżeli nawet władze miały dopuścić do jej zaistnienia, to i tak było kwestią czasu późniejsze uderzenie w nią. Tym bardziej więc rozsądnym wydawał się argument, aby być jak najbliżej rozwijających się szybko wypadków po to, by jak najlepiej wykorzystać czas chwilowej odwilży. Tak więc porzucaliśmy swoje miejsca pracy, uczelnie i szkoły, by znaleźć się jak najbliżej tamtejszych wydarzeń. Nie znaczy to wcale, że sprawa Wałęsy dla wszystkich była załatwiona do końca. Dla niektórych cała ta sytuacja była trudna do zaakceptowania. Mówimy w końcu o młodych ludziach, którym obce były polityczne rozgrywki, omijanie prawdy i unikanie problemów. Mieliśmy wątpliwości, czy uda się powstrzymać niszczące działania wodza zważywszy, że jego popularność rosła z dnia na dzień. Nadzieję dawała myśl o ewentualnych wyborach na przewodniczącego Związku. Wydawało się niemal oczywiste, że po pierwszej fali emocji ludzie zaczną rozglądać się za kimś bardziej odpowiednim do prowadzenia wielomilionowej organizacji. Nie wzięliśmy pod uwagę, jaka siła już wówczas za nim stała.

Tak czy inaczej były tacy, którym sprawa wodza jeszcze jakiś czas nie dawała spokoju. Dlatego też wkrótce odbyło się spotkanie na Uniwersytecie Gdańskim pod wymownym tytułem *WZZ a Solidarność*. Spotkanie zorganizował jeden z naszych kolegów i zgromadziło kilkuset słuchaczy. Nie wiadomo, jaki byłby jego przebieg i czym by się zakończyło, gdyby nie interwencja Bogdana Borusewicza, który pojawiając się tam, zamienił je natychmiast w spotkanie typowo wspominkowe. Bogdan cieszył się olbrzymim autorytetem wśród młodszej części grupy. Zaakceptowaliśmy jego decyzję, uznając argument o potrzebie rozładowania sytuacji.

Tak więc przystąpiliśmy do pracy w gdańskim MKZ

– Międzyzakładowy Komitet Założycielski. W Prezydium znaleźli się Anna Walentyłowicz, Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Bogdan Borusewicz, Alina Pięnkowska, Andrzej Kołodziej. Mariusz Muskat formował Komisję Zakładową pracowników. Andrzej Butkiewicz i Ania Sosnowska organizowali biuro drukarni. Samą drukarnię tworzyli Sylwester Niezgoda, Kazik Żabczyński i autor tych wspomnień. Niebawem z pomocą przyszli Wojtek Bubella, Tomek Wojdakowski, Piotr Bystrzanowski, Janek Karandziej i kilka innych osób. Wszyscy byli częścią przedsięwzięcia WZZ-tów. Taka sytuacja była drżazgą w oku bezpieki. Nie było wątpliwości, że SB nie pozostanie wobec tego faktu obojętna. Bezpieka przystąpiła do eliminowania wolnozwiązkowców niemal natychmiast. I chociaż nie powinno być dla nas zaskoczeniem, że wykonawcą tego zadania był właśnie Wałęsa, to jednak bezwzględność niektórych posunięć od czasu do czasu zdumiewała.

Wódz zaczął od ataku na Andrzeja Gwiazdę. I tu okazało się, że mocno przeliczył swoje siły. Nie miał jeszcze tak mocnej pozycji, jak wówczas myślał. Gwiazda był osobą niezwykle popularną w Regionie Gdańskim i mimo rozpowszechnianych przez bezpiekę kłamstw na jego temat okazał się chwilowo nie do ruszenia. Wałęsa skierował swoje ataki w stronę innych. Na pierwszy ogień poszła więc Anna Walentyłowicz. W tym wypadku wódz posłużył się zawsze mu wierną Komisją Zakładową Stoczni Gdańskiej, o której wiadomo dzisiaj, że była w znacznym stopniu spenetrowana przez agentów bezpieki, o czym zresztą mieliśmy się wkrótce przekonać na własnej skórze.

Ze szczególną determinacją zaatakował Wałęsa KOR i Bogdana Borusewicza. Ze znanych dzisiaj dokumentów wynika, że podjął się tej misji z wyraźnej inspiracji bezpieki. Wiadomo też dzisiaj, że już wtedy wódz miał precyzyjnie określony cel „wyczyszczenia” MKZ ze wszystkich WZZ-towców.

Należy w tym miejscu zaznaczyć, że Wałęsa nie był już wówczas w swej misji pozostawiony samemu sobie. Bezpieka niemal od początku przydzieliła mu do pomocy Mieczysława Wachowskiego, o którego pojawieniu w MKZ piszę w dalszej części moich wspomnień. Niektóre ataki na opozycjonistów były organizowane i przeprowadzane według książkowego niemal wzorca bezpieki. Typowym dla niej mechanizmem działania było dyskredytowanie wiarygodności osób przez nich eliminowanych, tak by ograniczyć znaczenie ich ewentualnych późniejszych wypowiedzi. Po wyrzuceniu Anny Walentyłowicz, Wałęsa natychmiast przystąpił do publicznych ataków na nią, określając ją jako niezrównoważoną. W przypadku Andrzeja Gwiazdy stworzył teorię *frakcji Gwiazdy*, której celem miało według niego być odebranie mu pozycji przewodniczącego Solidarności. Ujawnianie dzisiaj dokumenty świadczą wyraźnie, że bezpieka bez przerwy upewniała Wałęsę w tym przekonaniu. Nie trzeba było długo czekać, by strach wodza przed jego wymaganym zagrożeniem ze strony Gwiazdy urosł do rozmiarów obsesji. Sama bezpieka od początku była przerażona najmniejszą nawet szansą szefa Związku innego niż Wałęsa. Wódz atakował więc Gwiazdę z zaciekłością maniaka. Za panią Walentyłowicz poszli inni. Po wyrzuceniu szły natychmi-

astowe ataki na wiarygodność określonych osób. Czasami dochodziło do sytuacji wręcz absurdalnych. Zacietrzewienie było jednak często tak wielkie, że tego nie zauważano. Tak było, na przykład, w przypadku wyrzucenia z Zarządu Regionu Joanny Gwiazdy. Oto podczas Walnego Zjazdu delegatów Regionu Wałęsowcy postanowili hurtowo pozbyć się niewygodnych, prezentując całą listą kandydatów. Wywalano jednego po drugim przypisując każdemu po kolei coraz to bardziej idiotyczne zarzuty. Kiedy przyszła kolej na Joannę wnioskodawca z sali tak motywował: *Nie neguję, że ludzie ze skrzydła Gwiazdy są niewłaściwi. Są inteligentni i tworzą zwartą grupę*. Jeżeli ktoś wątpi, że inteligencja i tworzenie zwartej grupy były wystarczającym uzasadnieniem wyrzucenia z ZR Solidarności, to odsyłam do *Biuletynu Stoczni Gdańskiej* nr. 32.

Wkrótce też okazało się, że wódz miał przed sobą jasny i wyraźny cel. W wywiadzie udzielonym słynnej włoskiej dziennikarce Orianie Fallaci już na początku 1981 roku, powiedział wprost: *Wałęsa będzie musiał sięgnąć po rządy Polską*. Dziennikarka była tak tą deklaracją zaskoczona, że kazała ją sobie powtórzyć trzykrotnie. Wałęsa przystąpił do realizacji swego planu według zasady „po trupach do władzy”. Nie miało znaczenia, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej przekonywał Jerzego Surdykowskiego – autora *Notatek Gdańskich*: *Nie chcę żadnych funkcji. Nie jestem żadnym przewodniczącym, tylko służącym. Służę ludziom, którzy mi zaufali*.

Nasz bohater miał już też wyrobione zdanie o swoich rodakach postrzegając nas jako stado krów. Zwierzał się włoskiej dziennikarce: *zawsze byłem szefem bandy, jak baran przewodnik na czele owiec, jak wół na czele stada krów. Trzeba tego barana, trzeba tego wołu, bo inaczej i krowy pójdą w swoją stronę, jedna tu, druga tam, wszędzie gdzie tylko będzie trochę trawy do jedzenia. A żadna nie obierze właściwej drogi*. Dla tych wszystkich krów, które nie zamierzały iść we właściwą stronę stawał się szefem bandy, często nieźle uzbrojonej i przygotowanej.

Wałęsa był niezwykle konsekwentny w wypełnianiu zaleceń bezpieki. Nie tylko pozbywał się tych, których esbecka obawiała się najbardziej, ale też otaczał się podstawianymi przez SB osobami, wprowadzając je w swoje otoczenie wbrew protestom innych, często nawet swoich własnych zwolenników. Tak było na przykład w przypadku niejakiej Celejewskiej. Wałęsa postanowił zatrudnić ją na, jakby nie było, niezwykle ważnym stanowisku szefa kadr. Od pierwszych chwil pojawiły się co do jej kandydatury poważne wątpliwości. Okazało się, że wiele osób знаło nieciekawą przeszłość Celejewskiej. W tej sytuacji Komisja Zakładowa MKZ reprezentująca około stu trzydziestu pracowników zaprottestowała przeciwko jej zatrudnieniu. Wałęsa zareagował w sposób całkowicie dla niego



typowy. Wszedł na zebranie pracowników MKZ i stwierdził, że rozwiązuje Komisję Zakładową. Wyzwał przy tym przewodniczącą Komisji Mariusza Muskata. Tęgo samego, w którego mieszkaniu kilka lat wcześniej zapadała decyzja o założeniu Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. W czasach kiedy Wałęsa gdzieś na Stogach planował kolejny wyjazd na ryby...

Również Prezydium MKZ nie zgadzało się na przyjęcie Celejewskiej. Nie miało to żadnego znaczenia. Wałęsa nie miał ochoty słuchać. Jeden z członków Prezydium po tym właśnie głosowaniu spytał: *Po co to wszystko skoro Wałęsa i tak ją zatrudni*? Przykład Celejewskiej wcale nie był odosobniony. Wałęsa był informowany w mojej obecności o agenturalnej działalności dwóch innych osób ze swojego środowiska. Dwukrotnie przez swojego najlepszego przyjaciela Sylwka Niezgodę. Nawet w tych przypadkach nie miało to wpływu na jego decyzje. Twierdzenie, że Wałęsie podstawiano agentów poza jego wiedzą, jest nieporozumieniem. Wódz wiedział o większości agentów ze swego otoczenia i poświęcał wiele wysiłku, aby umacniać ich pozycję.

Celejewska odwdzięczyła się wódzowi w późniejszej akcji przeciwko drukarni MKZ. W stanie wojennym współpracowała dzielnie z komunistycznym komisarzem „zarządzającym” majątkiem gdańskiej Solidarności. Kiedy pod koniec stanu wojennego odbierałem swoje dokumenty w budynku rozbitego przez komuńską Związku, Celejewska podając mi je, zapytała z cynicznym przekąsem: *No i co panie Leszku, warto się było dla tej Solidarności tak poświęcać?* Są tacy, którym dzisiaj takie pytanie nie wydaje się całkiem pozbawione sensu. Dla mnie wtedy i w tamtym miejscu miało ono wymiar szczególny. Zwłaszcza, że nie mogłem nie pamiętać, kto tę kobietę i w jaki sposób w tym miejscu zainstalował.

Używanie agentów i, nazwijmy to delikatnie, ludzi o raczej nieciekawych charakterach przez Wałęsę, nie ograniczało się oczywiście do MKZ. Podczas Zjazdu Solidarności, wódz owładnięty absolutną już w tym czasie obsesją walki z wszelką prasą niezależną, postanowił nie dopuścić do jej rozpowszechniania wokół hali Olivii. Ściągnął więc ze stoczni agenta bezpieki, niejakiego Sułkowskiego, którego mianował jednym z szefów bezpieczeństwa Zjazdu. O kontaktach Sułkowskiego z SB mieliśmy już wcześniej sygnały. Dobrał on sobie do pomocy nauczyciela wychowania fizycznego w WSSP w Gdańsku, niejakiego Perskiego, który do swojej współpracy z bezpieką już od lat podchodził w sposób niemal jawny i nie było chyba w trójmiejskim środowisku akademickim osoby, która by o tym nie wiedziała. Obaj czuwaliby więc nad *bezpieczeństwem* Zjazdu. I żeby nie było wątpliwości, Wałęsa był o ich powiązaniach z SB informowany. Sułkowski i jego kolega wywiązywali się ze swego zadania szczególnie sumiennie. Nie pozwolili na rozprowadzanie niezależnych wydawnictw koncentrując swą szczególną uwagę na publikacjach RMP i KOR. W tym samym czasie okolice Olivii zasypano prowokacyjnymi ulotkami jakiś faszystowskich formacji. Nie zabrakło też esbeckich fałszywek. Sułkowski, podobnie jak Celejewska, wykazał się podczas akcji przeciwko drukarni MKZ.

O udziale bezpieki w Zjeździe Solidarności i wyborze Wałęsy na przewodniczącego szczegółowo pisze Sławomir Cenckiewicz

→ – historyk i pracownik gdańskiego IPN – w swojej opartej na dokumentach źródłowych pracy *Oczami bezpieki*. Wystarczy tylko przypomnieć, że z Komisji Krajowej wyeliminowano tam wszystkich niewygodnych włącznie z Gwiazdą, Modzelewskim, Świtoniem, Romaszewskim czy Rozplochowkim. Bezpieka chwaliła się również wyeliminowaniem dwóch naszych WZZ-towskich kolegów: Janka Karandzieja i Mietka Klamrowskiego. Nie ulega wątpliwości, że tamten Zjazd był wspólnym sukcesem bezpieki i Wałęsy. Mówią o tym wyraźnie coraz częściej publikowane dokumenty bezpieki.

Obserwując działalność Wałęsy w tamtym solidarnościowym okresie nie sposób nie zauważyć, że gdybyśmy zrobili listę wszystkich, których z taką pasją zwalczał i przez długie później lata obrzucał wyzwiskami, to otrzymalibyśmy spis najbardziej zaangażowanych, przedsiębiorczych opozycjonistów. Tych samych, którzy mieli przecież uwiarygodnić jego, Wałęsy, rewolucyjną przeszłość. Tymczasem lista ludzi, którymi zaczął się tak szczerze otaczać dziwnym trafem pokrywa się coraz częściej z esbecką listą plac.

**Drukarnia** MKZ-tu gdańskiego to osobna historia, której dokładne opowiedzenie wymagałoby napisania zupełnie osobnego tomu. Ograniczę się więc do spraw, które łączą się bezpośrednio z późniejszymi wydarzeniami zwanymi *sprawą drukarni*, a co za tym idzie z osobą Wałęsy.

Jeszcze podczas strajku w stoczni natknąłem się na Sylwestra Niezgodę i Kazika Żabczyńskiego. W WZZ-tach tworzyli tak zwaną grupę ze Stogów. Trzecim członkiem tej grupy był Wałęsa. Przed Sierpnem Niezgoda był jego najlepszym przyjacielem i prawdziwą encyklopedią wiedzy o nim. Był on typem raczej prostego, nieco narwanego chłopaka, który całą swą działalność postrzegał bardziej jako sposób wyżycia się niż świadome, zmierzające do określonego celu działanie. Pracował razem z Wałęsą w Elektromontażu, gdzie był kierownicą ciężarówki. To właśnie Niezgoda przemycił swego kolegę w zamkniętym kontenerze podczas nieudanej próby zorganizowania wiecu w tym zakładzie. W przeciwieństwie do Wałęsy, Niezgoda był niezwykle aktywnym członkiem WZZ-tów. Brał udział w każdej możliwej akcji ulotkowej. Zdarzało się, że organizował działania na własną rękę. Ta nadaktywność stawała się chwilami przyczyną sporego zagrożenia dla całej grupy. Tak było na przykład w przypadku spalenia olbrzymiej, kilkudziesięciometrowej planszy propagandowej na drodze do portu. Spędził on kiedyś całą noc wciągając na nią wielkie plachty nasączone benzyną po to, by je później podpalić. Efekt był z pewnością mocny. Problem w tym, że bezpieka mogła takie działanie uznać za akt terrorizmu, a to z kolei mogło mieć duże konsekwencje dla całej grupy.

Po strajku i wszystkich późniejszych emocjach związanych z Wałęsą, znalazłem się wraz z Niezgodą i Żabczyńskim w trzech niedużych pokojach na zapleczu klubu *Ster* w gdańskim MKZ, gdzie postanowiliśmy zająć się wydrukiem pierwszych oświadczeń i ulotek nowo powstającego Związku. Określenie „*wydruk*” jest tutaj mocno przesadzone, gdyż zaczęliśmy przy pomocy tych samych walków, które wcześniej okazały się tak przydatne w stoczni. Używaliśmy własnych zapasów papieru, farb, matryc i innych niezbędnych materiałów. Dopiero po kilku tygodniach wsparliśmy się mało wydajnym powielaczem przyniesionym z WZZ-towskich

drukarni. W tym samym czasie Andrzej Butkiewicz wraz z Anią Sosnowską dwa piętra wyżej organizowali biuro drukarni. Wszystko było wówczas prawdziwą improwizacją, niemniej drukarnia zaczynała pracować, próbując zaspokoić olbrzymi głód informacji. Jak wszyscy pracownicy MKZ pracowaliśmy w tym czasie bez wynagrodzenia. Spędzaliśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę w drukarni, gdzie jedynym meblem było wielkie biurko służące raz za miejsce pracy, kiedy indziej za łóżko. Z czasem otrzymaliśmy dwa holenderskie powielacze, które choć nie pokrywały naszych potrzeb, to jednak bardzo ułatwiały pracę. W tym początkowym okresie Wałęsa koncentrował się na świeżo wypowiedzianej wojnie WZZ-towskiej części Prezydium. Od pierwszych chwil istnienia drukarni robił absolutnie wszystko, aby nie dopuścić do drukowania jakichkolwiek materiałów opozycyjnych. Nie tylko kategorycznie zakazał wspierania naszych kolegów z niezależnych wydawnictw, ale zadawał sobie trud, aby zjawiać się niespodziewanie w drukarni, przeważnie w późnych godzinach nocnych, po to tylko, aby sprawdzić, co się właśnie drukuje. Zachowywał się jak owładnięty pasją powstrzymania jakiegoś kataklizmu. Było to dla nas potwierdzeniem, że jego decyzja o niedopuszczeniu do otwarcia stoczniowej drukarni podczas strajku nie była przypadkiem.

Drukarnia zaczynała się rozwijać. Otrzymaliśmy najpierw jedną, a potem trzy następne, dobrej jakości maszyny przysłane ze Szwecji. Za drukarnię służyło od tej pory pomieszczenie dawnego klubu *Ster*, a jego zaplecze stało się magazynem dla coraz częściej nadchodzącego jako dary, sprzętu poligraficznego. Używanie i zarządzanie sprzętem reprodukującym było jednym z przedmiotów konfliktu Wałęsy z jego byłymi WZZ-towskimi kolegami z Prezydium i Zarządu Regionu. Uważali oni słusznie, że sprzęt poligraficzny powinien być rozproszony po całym kraju, aby w razie nagłej zmiany sytuacji wszystkie ośrodki w Polsce miały możliwość ewentualnego rozpowszechniania informacji. Rozproszone maszyny miały większą szansę przetrwania. Wódz zdecydowanie się temu sprzeciwiał. Osobiście nigdy nie miałem wątpliwości, że nie był to jego własny pomysł. Z czasem znalazł on sojusznika w osobie niejakiego Słowika z Solidarności łódzkiej. Ten, zachwycony wyraźnie gospodarką centralną, wpadł na „*genialny*” pomysł stworzenia centralnej drukarni Solidarności. Od tej pory Słowik z błogosławieństwem wodza ściągał do siebie tyle sprzętu, ile tylko mógł. W tej sytuacji inni liderzy Związku rozsyłali maszyny do mniejszych ośrodków poza akceptowanym przez wodza rozdzielnikiem. Obie strony prowadziły grę stawiając nas w pozycji między młotem a kowadłem. Wałęsa wiedział, że sprzęt dociera do różnych miejsc w kraju i to wyraźnie nie wywoływało jego zadowolenia. Z czasem, kiedy rozpętał już oficjalną wojnę z drukarnią, próbował użyć ten fakt oskarżając nas o kradzież maszyn.

Jeśli chodzi o wyraźne nasilenie się kruczaty wodza przeciwko drukarni, to okazało się niebawem, że zesłała się ona w czasie z pojawieniem się w jego otoczeniu Mieczysława Wachowskiego. O istnieniu Wachowskiego dowiedziliśmy się za sprawą Niezgody, który w tym czasie wyraźnie już miał dosyć niewdzięcznej pracy w drukarni. Od dłuższego czasu czekał na przydzielony już gdańskiej Solidarności nowy samochód. Był święcie przekonany, tak jak zresztą my wszyscy, że wraz z jego przybyciem zostanie kierownicą

Wałęsy. Był w końcu nie tylko jego sprawdzonym przyjacielem, ale również zawodowym kierowcą. Był wyraźnie podekscytowany perspektywą znalezienia się w centrum wydarzeń. Tak więc, kiedy jednego dnia nadeszła wiadomość, że zatrudniono właśnie nowego osobistego kierowcę wodza, udał się natychmiast sprawdzić sytuację. Kiedy wrócił po dłuższym czasie, był wściekły jak nigdy. Chwycił za telefon i zadzwonił do gabinetu Wałęsy. Zostawił sekretarce wiadomość, której wódz nie mógł zignorować. Wałęsa pojawił się w drukarni późną nocą. Niezgoda nie bawił się w niepotrzebne wstępy. Krzyżąc pytał Wałęsę, czy ten wie kogo zatrudnił jako swego osobistego kierowcę. Pytanie było czysto retoryczne, gdyż Niezgoda nie czekał na odpowiedź. Z trudem panował nad sobą i widać było, że sam wódz był mocno zakłopotany. Sylwek krzyknął wówczas: *Ja go znam! On się nazywa Wachowski i jest majorem ubejji*. Dodał też, że Wachowski był kiedyś obecny przy jego przesłuchaniu. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że znał Wachowskiego jako oficera bezpieki.



Razem z Kazikiem Żabczyńskim przyglądałem się całej tej scenie z uczuciem nieukrywanego zaskoczenia. Jednak prawdziwym szokiem stała się dopiero odpowiedź Wałęsy. Nie próbował nawet udawać zaskoczonego. Powiedział wówczas, że Wachowski jest esbekiem. Po czym stwierdził, że woli mieć koło siebie znanego sobie *bezpiecznika*, niż żeby mieli mu podesłać nowego. To „*filozoficzne*” wyznaczenie nie trafiło Niezgodzie do przekonania i skończyło się poważną awanturą. Wałęsa wiedział, że ma w tym momencie do czynienia z mocno niezadowolonym kolegą, który wie o nim o wiele za dużo. Postanowił więc ratować sytuację obietnicami. Zaoferował mu pozycję kierowcy następnego samochodu i kilka związanych z tym przywilejów. Niezgoda miał poważne problemy z przetrwaniem tej całej sytuacji i przez jakiś czas dochodziło

między nim i Wałęsą do sporów na ten temat. Później okazało się, że takich samych informacji o Wachowskim dostarczyło wodzowi jeszcze kilka innych osób. W poświęconej sprawie Wachowskiego publikacji zatytułowanej *Droga cienia* znajduje się cytat o tym, że weryfikujący osobę Wachowskiego podczas procesu jego zatrudniania otrzymywali informacje, że jest on człowiekiem bezpieki, o czym już wówczas słyszeliśmy. I tu znów typowa reakcja Wałęsy. Stwierdził, że zrobi Wachowskiego swoim kierowcą, a ponieważ będzie mu płacił ze swoich pieniędzy, to Związkowi nic do tego. Oczywiście Wachowski znalazł się natychmiast na liście plac Solidarności.

Informację, że Wachowski był człowiekiem bezpieki ujawniła publicznie jako pierwsza Anna Walentynowicz. Nic więc dziwnego, że wódz atakował ją z taką zjadłością. Ostatecznie bronił człowieka, z którym miał wiele wspólnego nie tylko w tamtej chwili, ale również w Grudniu 1970. We wspomnianej już książce *Droga cienia* znajdujemy zdanie: *Podobnie jak Lech Wałęsa w styczniu 1971r., Wachowski donosił na kolegów ze stoczni, dostarczając informacji o najbardziej aktywnych uczestnikach zająć*. Sprawa Wachowskiego pozostawiła niesmak w relacji pomiędzy Wałęsą i Niezgodą. Ten ostatni pozostał jeszcze jakiś czas w drukarni. Potem krótko jako kierowca woził różnych członków Prezydium.

Niedługo po tym Niezgoda wpadł w poważne kłopoty. Wałęsa początkowo postanowił użyć swych wpływów i sprawę swego przyjaciela dość szybko załatwił. Niespodziewanie problemy pojawiły się ponownie tak, jak przedtem



zniknęły. Wyglądało na to, iż Wałęsa zorientował się, że nie wykorzystał okazji. Nie mam wątpliwości, że duży wpływ na tę sytuację miał Wachowski, dla którego niezadowolony Niezgoda stanowił ciągle jeszcze pewnego rodzaju przeszkodę. W tamtym momencie Wachowski mocno już kontrolował decyzje wodza. Dla

nas nie ulegało wątpliwości, że to właśnie on podsunął Wałęsie pomysł „*eleganckiego*” usunięcia starego przyjaciela. Nagle, wódz poinformował zaskoczonego kolegę, że sprawy mocno się skomplikowały i że nie może ich kontrolować. Wydawało się to bardziej niż nieprawdopodobne. Tak czy inaczej, Wałęsa załatwił Niezgodzie paszport i ten w ciągu kilku dni wyjechał do Holandii.

**Zaraz** po tym wydarzeniu, będący już w środku wojny, z WZZ-towskimi członkami Prezydium, Wałęsa postanowił zabrać się za „*wyczyszczenie*” drukarni. W tym czasie nawet nie próbował specjalnie kryć swoich zamiarów. Problem polegał na tym, że chcąc pozbyć się całej załogi drukarni jednocześnie potrzebował jakiegoś pretekstu. Wszyscy jej pracownicy byli częścią dawnych WZZ-tów jednak nikt z nich nie zajmował żadnego stanowiska we władzach Związku. Ten fakt nie pozwalał mu użyć „*argumentu*” zagrożenia dla jego pozycji. Zarzutu, który tak dobrze sprawdzał się w atakach na członków Prezydium.

Zaczął się więc od olbrzymiej masy plotek na temat drukarni. Często wręcz absurdalnych. Nie było najmniejszych wątpliwości, że od samego początku stała za tym bezpieka. To właśnie wtedy pojawiły się poza MKZ-tem prowokacyjne ulotki dotyczące drukarzy. Wałęsa nigdy nie protestował przeciwko nim mimo, że atakowały Związek w sposób niezwykle obrzydliwy. Szybko też stworzył grupę, której podstawowym zadaniem było rozbijanie drukarni. Do najbardziej gorliwych wykonawców Wałęsowych poleceń wobec drukarni należał Zdzisław Złotkowski. Niewielu mogło powiedzieć dokładnie, jaką rolę spełniał on w MKZ-cie. Poza organizacją wszelkich pomówień i napaści na pracowników drukarni trudno było określić, czym się właściwie powinien zajmować. Zresztą z czasem nie miało to już większego znaczenia gdyż atakowanie drukarzy stało się jego pełnoetatowym zajęciem. Tak naprawdę to był on postacią żalną. Resztę grupy aktywistów Wałęsy stanowili: Andrzej Kozicki, Leszek Sobieszek, Konrad Maruszczyk – rzecznik prasowy Komisji Stoczni i kilka innych osób. Do Maruszczyka internowani współpracownicy w Strzebielinku mieli bardzo poważne zastrzeżenia. Z kolei Kozicki był w wykonywaniu poleceń wodza najbardziej chyba zawziętym naszym wrogiem. To on stał się Wałęsowym narzędziem mającym zadanie sfabrykować powód do ostatecznego „*zatarwienia*” sprawy drukarni.

Początkowo ignorowaliśmy większość pomówień i ataków. Niestety za nimi przyszły bardziej już konkretne działania. W pewnym momencie pojawiły się oskarżenia o nadużycia w drukarni. Nie miało znaczenia to, że nikt się pod tymi oskarżeniami nie podpisywał. Nie miało też znaczenia, że nikt nie mógł powiedzieć, co można było w drukarni nadużyć. Tak więc byliśmy tylko trochę zdziwieni, kiedy przychodząc pewnego ranka do pracy zastaliśmy w drukarni prokuratora. Trzeba pamiętać, że reprezentował on instytucję PRL-u i jego obecność w budynku Solidarności nie była możliwa bez akceptacji „*najwyższego*”.

Prokurator spędził w MKZ-cie wiele dni tropiąc domniemane nadużycia w drukarni, po czym stwierdził, że takowych nie znalazł. Wynik śledztwa nie zadowolił wodza, więc prokurator musiał potropić jeszcze dodatkowy tydzień. Po tym czasie wydał oficjalne oświadczenie, że żadnych nadużyć nie ma i nie było. Uznałszy więc

sprawę za zamkniętą. Niestety ludziom wodza takie rozwiązanie nie pasowało do ich planów. Tak więc wyrzucili oświadczenie prokuratora do kosza i udali się na odbywający się właśnie Zjazd Zarządu Regionu, gdzie oznajmili oficjalnie, że w drukarni MKZ-tu były nadużycia. Złotkowski zapewnił w imieniu wodza, że sprawę załatwią zdecydowanie. Sytuacja wymagała jakiejś reakcji z naszej strony. Zamieściliśmy w wydawanym przez MKZ *Buletynie* krótki list otwarty z prośbą o zaprzestanie ataków na drukarnię. List celowo był adresowany do prezydium MKZ, a nie do Wałęsy. Reakcja wodza była natychmiastowa i typowa. Przesłał on do drukarni Złotkowskiego, który skonfiskował pozostałe egzemplarze *Buletynu*. Wszystkie zostały zniszczone. Tego dnia ludzie otrzymali tylko nie-wielką część materiałów, których ekipa wodza nie zdążyła zatrzymać.

Do ostrego konfliktu z wodzem doszło w czasie kryzysu bydgoskiego. Sytuacja była bardzo napięta i wszystkie MKZ-ty postawiono w stan pogotowia. Większość liderów Związku przekonana była, że władze zdecydowały się na generalną rozprawę ze Związkiem. Byliśmy na taką sytuację przygotowani od dawna. Mieliśmy dobrze zakonspirowane drukarnie, przygotowany transport i system łączności. Bogdan Borusewicz sprowadził ciężarówkę, rozebraliśmy maszyny i gotowi byliśmy do ich załadunku. Wałęsa dowiedział się o tym i przysłał wiadomość, że kategorycznie zabrania jakiegokolwiek ewakuacji. Uczynił to w samym szczycie napięcia. Postanowiliśmy zignorować jego decyzje i zachować gotowość ewakuacji aż do późniejszego odwołania jej przez Komisję Krajową. Przykład tej sytuacji nasuwał tylko dwa wnioski. Albo Wałęsa wykonując czyjeś polecenia nie chciał dopuścić do wywiezienia i zabezpieczenia sprzętu, albo wiedział coś czego nie wiedzieli inni. Jeżeli przyjmiemy ten drugi, korzystniejszy dla niego wariant to zachodzi pytanie: co wiedział i skąd miał informacje?

Nie sposób opisać w tak krótkim tekście wszystkiego, czego w imieniu Wałęsy dokonywano w drukarni aby wręcz sparaliżować jej funkcjonowanie. Typowy schemat działania polegał na tym, że omijając szefa drukarni pojawiał się w niej, któryś z ludzi wodza z zadaniem natychmiastowego druku jakiegoś materiału. Zdarzało się, że przedstawiał kawałek papieru z podpisem Wałęsy. Po kilku godzinach zjawiał się ktoś inny twierdząc, że poprzedni tekst nie był autoryzowany i należy wydrukować nową jego wersję. Do kosza szły więc często tysiące wydruków. Marnowano papier i czas. Zdarzało się, że nikt potem nie był zainteresowany odbiorem tych już rzekomo właściwych materiałów. Na marginesie sprawy przedstawianych do druku materiałów należy wspomnieć, że zdarzało się iż dokonywano zwykłego fałszerstwa. Otóż trafiały do wydruku ustawy przegłosowane przez, na przykład, Zarząd Regionu. Jakiś przedstawiciel przychodził je odebrać i okazywało się, że tekst jest inny niż ten, który przegłosowano. Często było już za późno, żeby to zmienić i taka „*poprawiona*” uchwała wchodziła w życie. Walczyli z tym zarówno Borusewicz, jak i Gwiazda.

Inną sprawą było wydawanie materiałów. Przed budynkiem MKZ, wprost przed oknami drukarni każdego popołudnia ustawiała się olbrzymia kolejka. Wracający z pracy ludzie przychodzili specjalnie po najnowsze wiadomości, czekając czasami całymi godzinami na nowe wydruki. Tymczasem po drugiej stronie oddelegowani do

do MKZ tak zwani działacze, chcąc przypodobać się swoim zakładom zabierali całe nakłady *Biuletynu* nie oglądając się wcale na czekających na zewnątrz ludzi.

Dziwnym trafem lista tych zakładów pokrywała się z listą faworyzowanych przez Wałęsę zakładów Regionu Gdańskiego z planowanej tak zwanej *sieci* (do tematu *sieci* wrócę w dalszej części moich wspomnień). Widząc odchodzących z niczym ludzi postanowiliśmy wydawać część materiałów wprost z okna drukarni. To spowodowało prawdziwą furję Wałęsowej grupy. Nastąpił prawdziwy huragan ataków na drukarzy, a szczególnie na ich szefa. Próbowano wszystkich możliwych sposobów od pomówień do groźb właśnie. Pewnego dnia Złotkowski powołując się na decyzję Wałęsy oznajmił zwolnienie z pracy Andrzeja Butkiewicza.

Odpowiedzią był protest wszystkich drukarzy z groźbą strajku. Decyzję wycofano. Po jakimś czasie powrózono podobne działania. I znów wycofano się, tym razem po proteście Komisji Zakładowej. Wkrótce sam Butkiewicz podjął próbę wyciszenia niesnask, zrezygnował z funkcji kierownika drukarni i przeniósł się do pracy w samej drukarni. Przekazywaliśmy Prezydium listy z propozycjami uporządkowania sytuacji. Wysyłaliśmy takie prośby regularnie, co kilka tygodni. Z braku reakcji wynikało jednak, że żadnemu z adresatów nie zależało na rozwiązaniu konfliktu. Wałęsa miał już gotowy plan załatwienia problemu.

Ataki na drukarnię przybierały coraz to brudniejsze formy. Rozróby Wałęsowych pupili zahaczały od czasu do czasu o inne działy MKZ. I tak na plenum 17 czerwca 1981 Złotkowski został uznany winnym dwutygodniowego strajku trzech pracowników radiowęzła gdańskiego MKZ, gdyż nie miał ochoty załatwić ich żądań dotyczących skandalicznych warunków pracy. Przyczyny opisanego w tygodniku *Czas* strajku pracowników radiowęzła przewodniczący Zarządu Regionu nazwał: *plewami, pestkami i wygłupianiem się*. A wszystko to, jakby nie było, w samym centrum pierwszego w historii PRL-u niezależnego związku zawodowego. Złotkowskiego obarczono winą za zaistniałą sytuację, co nie znaczy, że cokolwiek w tej sprawie zrobiono.

W lipcu Wałęsa wyeliminował z Prezydium ostatnich niewygodnych sobie, ustalając nowy jego skład. Drukarnia stała się więc ostatnią częścią MKZ, której безпеka nie mogła zostawić w spokoju.

Niebawem rozpoczęliśmy obsługę pierwszej tury Zjazdu NSZZ Solidarność. Do regularnych ataków ze strony ludzi Wałęsy doszły



agresywne działania esbecki. Okazało się później, że co najmniej kilka tysięcy wydruków zniknęło pomiędzy drukarnią a halą Olivii. Wiele też materiałów dotarło tam z dużym opóźnieniem. Nikt nie był w stanie tego wyjaśnić mimo, że to właśnie ludzie wodza tymi sprawami się zajmowali.

**Natychmiast** po zakończeniu pierwszej tury Zjazdu zażądaliśmy natychmiastowego uporządkowania spraw, grożąc nawet gotowością strajkową. Takiej okazji Wałęsa nie mógł przepuścić. W drukarni pojawił się Kozicki stwierdzając, że upoważniony przez wodza zwalnia z pracy całą załogę drukarni. Nie przyjęliśmy tej decyzji do wiadomości, uznając ją za zwyczajną prowokację. Kozicki pojechał na odbywający się tego dnia Zarząd Regionu, do którego dotarła już wiadomość o napiętej sytuacji w drukarni. Zarząd Regionu przysłał natychmiast trzysobową komisję, która po zbadaniu sytuacji przygotowała listę spraw do załatwienia i wycofała decyzję Kozickiego. Zobowiązano go też do natychmiastowego przeproszenia drukarzy. Chcąc nie chcąc uczynił to jeszcze tego samego wieczoru. Sprawa została przez ZR i drukarzy uznana za załatwioną. Innego zdania był jednak Wałęsa.

Następnego dnia rozpoczęliśmy pracę jak zwykle o siódmej rano. Jedną z maszyn obsługiwałem ja, drugą Andrzej Butkiewicz. W drukarni obecny był także mistrz drukarski pan Tadeusz Kijewski. Na zapleczu znajdowali się również dwaj szwedzcy specjaliści poligrafii. Kończyliśmy właśnie druk kolejnej strony *Biuletynu*, kiedy na chodniku przed wielkimi oknami drukarni zatrzymał się autobus Stoczni Gdańskiej. Dalsze wypadki potoczyły się niezwykle szybko. Drzwi wleciały z trzaskiem i do drukarni wbiegło około 50-60 osób.

Jedni w ubraniach cywilnych, inni w stoczniowych kombinazonach. Wielu uzbrojonych w ciężkie klucze do śrub, inni w łomy. Niektórzy trzymali ucięte kawałki grubego kabla. Wyglądali jakby mieli stoczyć jakąś poważną bitwę. Grupę prowadził członek Zarządu Regionu, delegat Stoczni Gdańskiej niejaki Bury. Wpadli do drukarni z takim impetem, że nie zauważyli stojącego z boku Andrzeja Butkiewicza. Bojówka wbiegła kierując się natychmiast w moją stronę. Dwóch pierwszych osiłków wykrcząc mi ręce, rzuciło mnie w kierunku ściany. Jeden z nich złapał mnie za gardło i przyciskając do ściany zakazał mówienia, co było i tak niemożliwe zważywszy, że uścisk jego wielkiej łapy nie pozwalał mi nawet oddychać. W tym samym czasie cała grupa wznosiła dzikie okrzyki, które przez pewien czas trudno było zrozumieć. Hałas był wielki i nie mieliśmy pojęcia, o co właściwie chodzi. Przyciśnięty wielką łapą stałem przez dłuższy czas na palcach podczas, gdy jakiś inny aktywista walil mnie od czasu do czasu kablem po nogach. W pewnej chwili Andrzej Butkiewicz przycisnął się przez tłum i stając przed nim próbował wyjaśnić sytuację. Nie

skończył jeszcze pierwszego zdania, kiedy znalazł się w uścisku jednego z bojówkarzy. Kilka sekund później stał obok mnie, trzymany za gardło mocną ręką jakiegoś cierpiącego na przerost mięśni młodego aktywisty. Kiedy próbował uwolnić się z uściku jakiś inny „działacz” walil go w brzuch metalowym prętem. Przewodzący grupie Bury wspomagany przez rzecznika prasowego stoczni Moszczaka, zagrzewał do wyzisk pod naszym adresem po czym przeszedł do okrzyków *zrobić szpaler i dać im wycisk*. Podczas gdy cała grupa wznosiła okrzyki zastanawiając się, z której strony nam przyłożyć, współpracujący z bezpieczeństwem członek Komisji Zakładowej stoczni – Sulkowski – wchodził na maszyny z aparatem fotograficznym, szukając najlepszych ujęć dla swych „*pamiętkorczych*” zdjęć, które robił z zapalem godnym prawdziwego fotoreportera. W tym samym czasie na korytarzu przerażony, starszy już, mistrz Tadeusz Kijewski dostał zawału serca i wyłądował w szpitalu, gdzie spędził kilka następnych tygodni. I żeby nie było wątpliwości: nie jest to relacja z rozbijania stoczni przez ZOMO. Całe to zajście miało miejsce w centrum NSZZ Solidarność w Gdańsku, w dniu 16 września 1981.

Hałas i zamieszanie trwały jeszcze dłuższą chwilę. Kiedy tłum nieco się uciszył, głos zabrała kadrowa MKZ-tu Celejewska. O jej pojawieniu w gdańskiej Solidarności pisałem wcześniej. Stwierdziła, że dowiedziawszy się o spontanicznej akcji stoczniowców (!) postanowiła zjawić się tu, by udzielić istotnych informacji. Nadal nie wyjaśniając nam o co chodzi, odczytała dane osobowe wszystkich zatrudnionych w drukarni nie wyłączając adresów zamieszkania. W międzyczasie trzymający nas aktywiści, zmęczeni prawdopodobnie uciskaniem, pozwolili nam stanąć na całych stopach. Zastrzegli jednak, że nie wolno się nam odzywać. Wszystko przebiegało jak doskonale przeciwcizona akcja. W pewnej chwili wyglądało, że sytuacja zaczęła się prowodyrom nieco wymykać spod kontroli kiedy, któryś z przywiezionych przez nich stoczniowców nagle zaproponował, by pozwolić nam zabrać głos. W tym momencie Celejewska, próbując do tego nie dopuścić, postanowiła zwrócić uwagę stoczniowców na nasze – jak się wyraziła – nieproporcjonalnie duże pensje. Zarabialiśmy wówczas nieco ponad pięć tysięcy, co stanowiło jedną trzecią przeciętnej stoczniowej pensji. Przygotowana na wszelką ewentualność kadrowa użyła więc sprytnego wybiegu. Stwierdziła, że nie

chce zanudzać zebranych czytaniem wypłat wszystkich drukarzy. Zaproponowała przykład jednego z naszych kolegów. Celejewska oznajmiła, że nasz kolega zarobił w wybranym miesiącu kilkanaście tysięcy. Przemilczała oczywiście fakt, że chłopak ten już z nami nie pracował, gdyż odszedł do wojska, a przytoczona wypłata była zlepkiem dwóch miesięcznych pensji plus tak zwanej wyprawy dla każdego odchodzącego do służby wojskowej. Nie mogąc się odzywać, nie mieliśmy szansy wyjaśnienia tych kłamstw. Organizatorzy całego tego napadu doskonale się w tych szczegółach orientowali. Kłamstwa Celejewskiej skierowane były do grupy zdezorientowanych stoczniowców, których przywieziono dla uwiarygodnienia całej operacji. Po Celejewskiej głos zabrała niejaka Koszarska, która oznajmiła, iż jest pracownicą zakładów graficznych w Gdansk i, że znalazła się w grupie zupełnie przypadkowo (!). Zupełnie



też przypadkowo, przyprowadziła ekipę drukarzy gotowych do zastąpienia nas przy maszynach. Byli oni gotowi do tego stopnia, że mieli na sobie robocze kombinezony. Głos zabierali jeszcze Złotkowski, Mosczak, Kozicki i Bury. Ten ostatni uznał naszą niewątpliwą winę i zaproponował wyrzucenie nas na ulicę. Ciągłe nie było wiadomo, czego ta rzekoma wina miała dotyczyć. W tym momencie znieważono i wypchnięto z sali przybyłego i próbującego protestować przewodniczącego Komisji Zakładowej MKZ-tu – Mariusza Muskata.

Płynność tak dobrze przygotowanej akcji zakłócili znowu stojący z tyłu głoszi stoczniowcy. Zażydali oni ponownie, aby udzielić nam głosu. Tym razem nawet agresywności Burego nie pomogła. I chociaż pozwolono nam wypowiedzieć zaledwie kilka zdań, to wystarczyło, aby powiedziec zaskoczonym robotnikom, kim jesteśmy i skąd się tam wzięliśmy. Zaraz po tym kilkunastoosobowa grupa stoczniowców odłączyła się od bojówki i opuściła drukarnię. Pozostała w środku banda Burego kontynuowała swoje zadanie i po serii bojowych okrzyków wywleczono nas na zewnątrz, gdzie w końcu zostawiono w spokoju.

Po chwili podeszło do nas kilkunastu stoczniowców, z którymi nawiązaliśmy rozmowę. Stwierdzili, że nie orientowali się iż zostali wmanipulowani w wyraźną prowokację. Opowiedzieli, że wcześniej rano członkowie Komisji Zakładowej zwołali ich do swej grupy twierdząc, że gdański MKZ znalazł się w niebezpieczeństwie. Zapakowano ich do autobusu, który według ich relacji pojechał najpierw na osiedle Zaspą, gdzie zatrzymał się w pobliżu mieszkania Wałęsy. Do autobusu weszło kilku mężczyzn i nie przedstawiając się stwierdzili, że drukarnia MKZ została opanowana przez agentów bezpieki. Stamtąd autokar udał się pod siedzibę Związku.

Nie próbuję opisać naszych uczuć w tamtym momencie, gdyż nie sądzę, abym potrafił określić je słowami. Trudne może się wydać do uwierzenia, że zdarzenia te miały miejsce w samym centrum wielomilionowego Związku wyrosłego z akcji strajkowej, w statucie którego zapisano jako nadrzędny cel *ochronę praw, godności i interesów pracowniczych*. Tym trudniejsze do uwierzenia może być dla niektórych, że autorem i reżyserem tej akcji był nie kto inny jak właśnie *największy obrońca praw pracowniczych naszych czasów* (jak go określił jeden z jego kronikarzy ), laureat nagrody Nobla, *działacz* przedsierniowej opozycji i oczywiście dzisiejszy symbol – Lech Wałęsa. Nie ulega wątpliwości, że w przygotowaniu szczegółów operacji musiał pomagać mu jego ówczesny doradca Wachowski. Cała akcja nosi wyraźne znamiona typowego działania bezpieki.

Tym, którym niełatwo uwierzyć w udział wodza w tym bandyckim przedsięwzięciu przypomnę kilka faktów. W tamtym okresie Wałęsa sprawował w MKZ-cie władzę absolutną i nic, a szczególnie wydarzenie takiego kalibru nie mogło zaistnieć bez jego wiedzy. Jego gabinet znajdował się dwa piętra wyżej. Nawet obecny w czasie napadu (także zupełnie przypadkowo) ksiądz Jankowski nie odważył się przeciwstawić bojówce. Ksiądz Jankowski był częstym gościem w biurze drukarni. Znał drukarzy i wiedział doskonale kim byli. Rozmawiał z nami następnego dnia stwierdzając, że był wobec sytuacji bezsilny.

Przewodniczący Komisji Zakładowej w stoczni – Szablewski wyznał z czasem, że otrzymał polecenie, nie mówiąc oczywiście od kogo. Trudno sobie wyobrazić, aby jakiś Kowalski mógł zadzwonić do stoczni i zażądać od Szablewskiego wysłania uzbrojonej bojówki do centrali Solidarności. Poza Wałęsą nie było w MKZ osoby, która mogłaby przewodniczącemu stoczniowej Solidarności wydać jakiegokolwiek polecenie. A już z całą pewnością polecenie napadu na centrum Związku.

Ponadto myli się ten, kto myśli, że idea stworzenia bojówek wewnątrz Solidarności była pomysłem nowym. Wspomniałem wcześniej o tak zwanej *sieci*. Był to osobisty patent Wałęsy i miał nazywać się *siecią wiódących zakładów*. Wódz miał listę największych zakładów, poczynając oczywiście od stoczni, które to zakłady cieszyły się jego szczególną sympatią. Tam też miał on największe wsparcie. Już w pierwszym okresie istnienia Związku Wałęsa postanowił stworzyć z nich sieć zakładów, których bojówki pacyfikowałyby nieposłuszne mu grupy, jak również niektóre mniejsze zakłady w razie, gdyby te prezentowały niewłaściwą linię działania. Do stworzenia *sieci* nie doszło tylko dlatego, że kiedy organizowano spotkanie przedstawicieli tych zakładów wiadomość o tym wyciekła na zewnątrz i na spotkanie przyjechali zaniepokojeni przedsta-wiciele mniejszych zakładów z kraju.

Nawet jeżeli nigdy nie doszło do formalnego założenia *sieci*, to używanie grup z wybranych zakładów do pacyfikowania innych, szczególnie MKZ-tów było zjawiskiem częstym. I chociaż drukarnia w Gdańsku była pierwszym miejscem, gdzie jawnie użyto fizycznej przemocy, to wysyłane wcześniej do różnych miejsc grupy stosowały zastraszenia, przekrzykiwanie, niedopuszczanie do głosu i uciszanie niewygodnych. Piszę o tym Andrzej Gwiazda w książce-wywiadzie pod tytułem *Gwiazda miałeś rację*. Poruszając ten temat wspomina: *W całej Polsce przygotowane były grupy do rozbicia MKZ-tów. U nas im się udało, zostaliśmy wyrzuceni z Zarządu; w Warszawie zrobili podejście, ale się nie udało. Zdaje się, że załogi "prawdźżiwkom" nie dopisały, bojówki do czyszczenia zostały źle dobrane, bo przyszli i przekonali się, że mają rację ci, których chcieli wywalać*. O Gdańsku opowiadał: *Historia gdańskiego MKZ-tu to nieustannie powtarzające się próby wyrzucenia Prezydium przez Wałęsę. Na stoczni miał już sformowane nowe prezydium, którego skład – mimo, że było to super tajne – znaliśmy*.

Gdyby ktoś nie czuł się jeszcze wystarczająco przekonany, to przytoczę opis zamiarów i sposobów działania wodza, opis który nie może budzić wątpliwości. Stanisław Cenckiewicz – autor *Oczami bezbiki* – przytacza na stronie 497 znajdujący się w dokumentach SB raport z rozmowy wodza z tajnym współpracownikiem



o pseudonimie *Konrad*. Rozmowa odbyła się podczas pierwszej tury Zjazdu, tuż przed wyborami na przewodniczącego Związku, czyli na kilka dni przed napadem na drukarnię!! Cytuję z książki:

*Zdaniem konfidentów SB, także stronników „elektryka z Gdańska” w rodzaju TW ps. „Konrad”, coraz większa pewność Wałęsy, iż zostanie wybrany przewodniczącym Solidarności, opierała się po części na przekonaniu, że w razie gdyby Zjazd przybrał niekorzystny dla niego obrót, to na salę obrad wkroczy trzydziestosobowa grupa stoczniowców, która „wspólnie ze służbą porządkową usunie z sali osoby atakujące w swych wystąpieniach Wałęsę”. Radykalni zwolennicy Wałęsy – na czele których miał stać Stanisław Bury z Gliwice – atakowali i oczerniali członków KOR (czytaj: przeciwników Wałęsy) argumentując, że “do władzy rewie się żydostwo, któremu obec są interesy robotników”. Jak zapewniali TW „Konrad”, podporządkowana Wałęsie służba porządkowa uniemożliwia też kolportaż wydawnictw KOR w czasie Zjazdu.*

Nie myślę, aby były tu potrzebne specjalne wyjaśnienia. Dodam tylko, że mowa jest o tym samym Burym. Gliwice są prawdopodobnie miejscem jego pochodzenia. Nie ma to oczywiście większego znaczenia. Ważne wydaje się to, że Wałęsa i безпеka potraktowali drukarnię jako poligon doświadczalny dla swoich bojówek. Za jednym pociągnięciem pozbyli się z MKZ reszty WZZ-towców, sprawdzając w tym samym czasie nie tylko sprawność działania bandy, ale przede wszystkim ewentualną reakcję szerszej opinii.

Napad bojówek Wałęsy na jego własny Związek nie był wcale końcem całej tej historii. Sam wódz nawet nie próbował udawać, że z napadem nie miał nic wspólnego. Nie pojawił się ani razu, aby o tej sprawie z kimkolwiek rozmawiać. Natychmiast jednak otoczył się kilkuosobową obstawą, która uniemożliwiała jakikolwiek z nim kontakt. Wydawał się bardzo zadowolony z przebiegu wypadków i raczej małego początkowo ich oddźwięku w Regionie Gdańskim. Dopiero późniejsza fala protestów napywająca z innych regionów kraju zmusiła go do nieznacznziej zmiany postawy.

Tymczasem bojówkarze wrócili do stoczni, gdzie według esbeckich wzorców natychmiast przystąpili do akcji propagandowej wymierzonej przeciwko drukarzom. To była akcja równie brudna jak sam napad. Rozpuszczano niezliczone ilości przeróżnych kłamstw na nasz temat. Używano do tego celu stoczniowego radiowęzła. Mówiono więc o nadużyciach, naszej rzekomej współpracy z bezpieczeńką czy nawet o podejrzaniach o handel narkotykami. Stosowano metodę: im większa ilość rzuconego błota, tym większa szansa, że jakaś jego część do nas przyłgnie. W pewnym momencie doszło do całkowitej paranoi. Zaczęto rozpowszechniać tak idiotyczne oskarżenia jak to, że w drukarni handlowano zachodnim masłem i winogronami.

Jednocześnie rzecznik prasowy Mosczak preparował odpowiedni komunikat, przedstawiając napad na drukarnię jako akt wyczyszczenia jej z ludzi bezpieki. W gablocie stoczniowej Solidarności wywieszono kilka zdjęć z napadu, mających pokazywać spokojnie rozmawiających *przedstawicieli delegacji stoczniowców*. Kiedy jednak zażydaliśmy okazania reszty fotografii oznajmiono nam, że film zaginął. W tym samym czasie bezpieka wypuściła na ulice Trójmiasta prowokacyjne ulotki atakujące Solidarność, a podpisane *wolna drukarnia MKZ*.



Wkrótce z całej Polski zaczęły nadchodzić sygnały oburzenia. Solidarność poligrafów z siedzibą w Szczecinie zamieściła w swym piśmie *Kwadrat* serię artykułów, domagając się ukarania winnych. Informacje i protesty ukazały się również w innych wydawnictwach Solidarności w całym kraju. Pod wpływem tych nacisków zdominowany przez Wałęsę Zarząd Regionu Gdańskiego próbował stworzyć pozory, że zajął się dokładnym zbadaniem sytuacji. W tym celu powołano trzyosobową „komisję” do przeprowadzenia rozmów i zbadania sprawy. „Komisja” złożona z ludzi Wałęsy „badala” incydent w sposób szczególny. Większości drukarzy zadano jedno, niektórym kilka pytań. Wszystkim jednak postawiono jedno i to samo pytanie, które brzmiało: *Gdybyś brał udział w wyborach na przewodniczącego Związku, to głosowałbyś na Wałęsę czy Gwiazdę?!*

Gigantyczny absurd „komisji” osiągnął szczyt w wydanym przez nią oświadczeniu. Nie sposób przytoczyć całego tekstu. Sprowadzał się on do prostego wniosku, że zaniepokojona sytuacja w drukarni delegacja stoczniovców przeprowadziła przyjacielską rozmowę z drukarzami. Ustalenia kończyły się zaleceniem wyrzucenia drukarzy z pracy. Raport „komisji” przepelniony był kompletnymi idiotyzmami typu: *Komisja nie widzi potrzeby delegacji tak licznej (ok. 50 osób) choć przyjęła do wiadomości, że liczebność wynikała z pojemności autokaru, przy dużej liczbie chętnych.* Albo inny przykład: *Komisja uważa za niezłaściwy brak uprzedzenia telefonicznego prezydium ZR, choć przyjmuje do wiadomości pośpiech wywołany chęcią wykorzystania przerwy śniadaniowej.* Cały raport obfitował w tego typu perły. Zadowoleni z siebie członkowie „komisji” ogłosili raport uznając sprawę za załatwioną.



## Protesty

w całym kraju jednak nie ustawały. Zarząd Regionu musiał w końcu wprowadzić sprawę napadu do porządku obrad. W początku października znaleźliśmy się więc na obradach ZR. Sytuacja przypominała scenę z jakiegoś surrealistycznego filmu. Na środku sali stał długi stół. Po jednej stronie zasiadali zwolennicy Gwiazdy, po drugiej ludzie Wałęsy z Burem włącznie. Prowadzący wywołał temat drukarni jako następny punkt porządku obrad. W tym momencie podrywa się Wałęsa krzycząc, że to wszystko robota Gwiazdy i

trzeba jego samego jak i jego ludzi stanowczo ze Związku wyeliminować. Obrady natychmiast przerodziły się w głośny spór o wszystko tylko nie sprawę drukarni. Zamieszanie trwało jakiś czas i nawet prowadzący był bezradny. Po dłuższej awanturze udało się powrócić do tematu napadu. Wówczas podnosi się Bury składając oficjalny wniosek, aby jak się wyraził: *zrzucić góconiarzy ze schodów.* W końcu prowadzącemu udało się ponownie opanować sytuację na tyle by przeczytać wspomniany wcześniej wniosek „komisji”. Ustalenia jej były tak nieprawdopodobnym stekiem bzdur, że nawet niektórzy członkowie z grupy Wałęsy nie mogli ich przyjąć. Z minimalną przewagą przegłosowano uchwałę nakazującą przywrócenie wszystkich drukarzy do pracy. Wałęsa stwierdził, że nie uznaje tej decyzji i opuścił salę wraz z resztą grupy Burego.

Następnego dnia zgłosiliśmy się do pracy tylko po to, by zastać przed drzwiami osilków z bojówki Wałęsy, którym wódz przykazał nie dopuścić nas do pracy. W międzyczasie pod wpływem nacisków z zewnątrz wódz przydzielił nam płatne urlopy. Odmówiliśmy ich zaakceptowania zgłaszając się do pracy każdego ranka aż do czasu wprowadzenia stanu wojennego. Do ostatniego dnia nie zostaliśmy dopuszczeni do drukarni. Stan wojenny część z nas spędziła w ośrodkach

internowania, część w podziemnych drukarniach. Wszystkie maszyny w drukarni MKZ-tu gdańskiego zostały kompletnie zniszczone przez pacyfikujące budynek oddziały ZOMO. Nie muszę chyba dodawać, że nowa ekipa drukarzy powróciła spokojnie do swoich poprzednich zajęć.

## Wałęsa

oparł swój kombatancki życiorys między innymi, na opowieściach o swoich zwolnieniach z pracy w czasach „bohaterskiej” działalności opozycyjnej. Każdy z nas był w tym samym czasie zwalniany z pracy wielokrotnie. Niektórzy znacznie częściej niż wódz. Nigdy jednak nie był wielki polski rewolucjonista wyrzucany siłą przez żadne, komunistyczne czy jakiegokolwiek inne bojówki. Mało tego, zawsze miał on możliwość odwoływania się od tych decyzji. My musieliśmy z tego prawa zrezygnować dla dobra Związku. Ironią staje się w tych okolicznościach fakt, że kiedy jeszcze przed Sierpniem nikomu nieznanemu Wałęsa odwoływał się od swego zwolnienia z pracy do Terenowej Komisji Odwoławczej, to właśnie ja osobiście organizowałem i przeprowadzałem akcje poparcia. W dniu jego odwołania byłem właśnie świeżo zwolnionym z pracy WZZ-towcem. To właśnie ja organizowałem kilkunastoosobową grupę młodych ludzi, których przekonałem by pod nosem milicji rozdawali ulotki i potem uczestniczyli w sprawie człowieka, którego nigdy przedtem nie widzieli na oczy. Żaden z nich nie miał nic wspólnego z opozycją. Wystarczyło jednak moje poręczenie i cała ta grupa nie tylko zjawiała się na sprawie, ale zrobiła zamieszanie, którego bezpieka nie mogła prędko zapomnieć. Ponieważ nie mogłem sobie przypomnieć, aby wódz kiedykolwiek powiedział *dziękuję*, tak też muszę uznać, że zrobił to nieco później w typowy dla siebie sposób.

Kiedy przystępowałem do opozycji pod koniec lat siedemdziesiątych, dostałem do ręki broń. Były nią zadrukowane kartki papieru. I nie było przypadkiem, że władze bały się ich jak ognia. Niosły prawdę, odklamując wtłaczany nam natrętnie fałsz. Jeżeli więc po tym wszystkim nie możemy dzisiaj mówić głośno prawdy tylko dlatego, że dotyczy ona „symbolu”, to muszę zapytać po co to wszystko robiliśmy? Mogliśmy przecież siedzieć cicho i nie mielibyśmy dzisiaj paskudnego uczucia, że staliśmy się częścią orwellowskiego *Folwarku zwierzęcego*.

*Demokracja* stała się już dawno ulubionym hasłem Wałęsy. Wypowiedział to słowo wiele razy. Nigdy jednak nie powiedział, że w jego słowniku oznacza ono wbijanie innym swoich opinii przy pomocy bojówkarskiej pały. Tym, którzy tak bardzo troszczą się o dobre imię naszego herosa, powiem tylko, że w innym czasie i innym miejscu za takie „zasługi” symbol zamiast fotela prezydenta otrzymałby miejsce w celi i tym razem nie jako więzień polityczny. I niezależnie od tego, jak bardzo burzy to komuś jego wewnętrzny spokój, to pozostaje faktem, że bandytyzm nie przestaje być bandytyzmem tylko dlatego, że dopuszcza się go symbol!

Nikt nie namawia do wtrącenia naszego symbolu do ciemnego lochu. Pomiędzy tym a stawianiem nowych pomników jest jednak olbrzymia przestrzeń. Tym wszystkim nawołującym do wyważenia opinii o naszym symbolu proponuję więc dostosowanie się do dawanych rad.

Posunę się na koniec do gestu wobec Wałęsy, którego on sam nigdy mi nie zaoferował i pozwolę mu mieć ostatnie słowo, cytując jego wypowiedź dla tygodnika *Wprost* (2005). Nasz symbol powiedział: *Pojednanie nie zakłada amnezji. Nie może oznaczać, że nie dociekamy prawdy, nie wyjaśniamy afer, zamazujemy różnicę między uczciwymi a przestępcami.*

**Leszek Zborowski**

P.S. *punkt.ca* dziękuje Bogdanowi Falarzowi z Kanady za udostępnienie oraz możliwość reprodukcji kolekcji znaczków, kartek i innych druków nielegalnie opublikowanych w tzw. stanie wojennym.

# Wspominając tych, co nie dostali braw

Magdalena Szmygin

Pochodzę z rodziny adwokackiej. Wychowana w tradycji poszanowania praw innych ludzi, umocniona na dodatek w przekonaniu, że każdy – nawet największy zbrodniarz – ma prawo do obrony, poszłam w ślady ojca. Po ukończeniu studiów prawnych na Uniwersytecie Wrocławskim zaliczyłam dwuletnią aplikację sądową zakończoną egzaminem sędziowskim, a potem rozpoczęłam aplikację adwokacką. Była to kombinacja intensywnego szkolenia, na które jeździłam co sobotę do Okręgowej Izby Adwokackiej we Wrocławiu, z praktyką, polegającą na zastępowaniu adwokatów w najmniej „intratnych” sprawach i pisaniu za nich pism procesowych. Moją siedzibą był Zespół Adwokacki nr 2 w Lubinie.

Aplikację rozpoczęłam tam w kwietniu 1981 roku, natomiast 13 grudnia tegoż roku wprowadzono stan wojenny. Zamiast na „Teleranek”, który obiecywałam mojemu choremu dziecku, w osłupieniu patrzyłam na wnętrze studia, które na przemian okupowali: Jaruzelski i wciśnięty w żołnierski mundur spiker, któremu po twarzy wciąż spływały strużki potu. Wkrótce zaczęły do mnie docierać wiadomości o represjonowaniu bliższych i dalszych znajomych, o dramatach ich rodzin. Na wieść o internowaniu obojga rodziców, koleżanka mojego brata powiesiła się w akademiku we Wrocławiu. Po „drodze wrocławskiej”, na którą miałam widok ze swojej kuchni, dniem i nocą przemieszczały się czołgi. Mówiło się o nie kończących się walkach studentów z ZOMO–wcami na ulicach Wrocławia.

Od pierwszego dnia mój ojciec Kazimierz Tews był obrońcą tych, którzy nie ułękli się groźby represji i zeszli do podziemia, by tam kontynuować swoją działalność. Nie miałam, niestety, ani cienia szansy, by go zastąpić na tych rozprawach, gdyż nie było siły, która by go zmusiła do opuszczenia jakiegokolwiek terminu. W mieszkaniu, w którym miał swoją „podręczną” kancelarię, poznawałam tych, którzy grali główne role w nielegalnych organizacjach Zagłębia Miedziowego i wciągałam się w ten sposób w tematykę ich obrony.

W pierwszą rocznicę podpisania porozumień sierpniowych, 31 sierpnia 1982 roku, na ulicach Lubina doszło do wydarzeń, które określaliśmy mianem „lubińskiej wojny”. ZOMO–wcy zaczęli strzelać do zgromadzonych na pokojowym wiecu ludzi. Trzy osoby zginęły na miejscu, kilkadziesiąt zostało rannych. Wciągano ich do suk milicyjnych, zabierano tam także z ulic każdego, kto się nawinął. W konsekwencji nikt nie był pewien, czy ojciec, brat, mąż, którzy nie wrócili na noc do domu, zostali zabici, ranni, czy są po prostu aresztowani. Doprowadzeni do ostateczności mieszkańcy Lubina rozpoczęli następnego dnia nierówną walkę z uzbrojonymi po zęby funkcjonariuszami. Wojna ta trwała trzy dni. Otoczonym przez zdeterminowany tłum ZOMO–wcom dowożono amunicję karetkami pogotowia, przed którymi tłum grzecznie się rozstępował. Widziałam to osobiście z dachu domu mojego brata.

W tym momencie ostatecznie zdecydowałam o tym, że będę bronić tych ludzi, których w taki sposób karze się za samo marzenie o wolności. Przez lata całe zapelniali oni sale sądowe – zarówno na ławach oskarżonych, jak i na widowniach, by słuchać najpierw płomiennych przemówień o wolności słowa i słuszności własnych działań, a potem – treści nieuniknionych wyroków skazujących. W tamtych czasach jedynie sale sądowe i kościoły były miejscami, gdzie mogli „naładować baterie” na kolejne dni oporu. Gdzie ładowaliśmy je wspólnie, gdyż mnie z kolei podtrzymywał na duchu widok ich twarzy, gdy mówiłam, że są niewinni. Nie było bowiem trudno zdecydować się na obronę ludzi, którzy z gołymi rękami walczyli przez trzy dni z uzbrojonymi ZOMO–wcami, szalejącymi po ulicach Lubina. O wiele trudniej było tę pozornie beznadziejną, choć bardzo satysfakcjonującą z prawnego punktu widzenia obronę, kontynuować przez te wszystkie lata, które potem nastąpiły.

Wspominając te czasy, nie mogę pominąć dziwnego strajku, do którego doszło wkrótce po „okrągłym stole”. Po przejściu najtrudniejszych lat podziemia i represji działacze stanęli przed prawdziwym wyzwaniem, które było sprawdzianem – już nie ich odwagi i wytrwałości – lecz ich politycznej dojrzałości i dyplomatycznych talentów.

Dla działaczy, którzy, jak pan Bogdan Nuciński z ZG Lubin, do niedawna jeszcze zajmowali się drukowaniem i kolportażem ulotek i walką podziemną, nie zaś występowaniem na forum publicznym, strajk ten był także pierwszym sprawdzianem radzenia sobie z tłumem.

„Nikt z nas przedtem nie miał takich doświadczeń”, wspomina pan Bogdan po latach. „Wtedy po raz pierwszy musiałem stanąć przed taką dużą grupą ludzi, by przekonać ich do czegoś. Samo przemawianie do nich, to było prawdziwe wyzwanie”.

Strajk zaczął się wkrótce po okrągłym stole, w maju 1989 roku i trwał długie dwa tygodnie. Rozpoczął go zupełnie nieznanymi górnikiem, który spełnił rolę „zapłonu”. Strajk rozprzestrzenił się na wszystkie szyby trzech kopalni Zagłębia Miedziowego – ZG Rudna, ZG Polkowice i ZG Lubin.

W tym czasie w kopalniach działały tymczasowe komitety NSZZ Solidarność, składające się z działaczy niedawnego „podziemia”. Moi klienci weszli, oczywiście, do tych tymczasowych struktur, w oczekiwaniu na oficjalne wybory do władz Solidarności.

Oszołomieni nieco nagłym „zwycięstwem” i świeżo uzyskaną legalnością, stanęli oni w maju 1989 przed prawdziwym dylematem. Z jednej strony wiedzieli, że to, co się zaczęło, jest to „dziki strajk”, z drugiej – zdawali sobie sprawę, że muszą się jakoś do niego ustosunkować. Po raz drugi, od czasu „lubińskiej wojny”, Zagłębie Miedziowe zwróciło na siebie uwagę opinii publicznej. Uznając, że muszą przede wszystkim reprezentować interesy załogi, działacze stanęli na czele komitetu strajkowego. Mnie poproszono o to, by wziąć w nim udział jako doradca NSZZ Solidarność.

Pięćdziesięcioosobowy komitet, w którego skład wchodzili też przedstawiciele OPZZ z Ryszardem Zbrzyznym na czele, był ciałem bardzo dziwnym i złożonym, gdzie każdy patrzył na ręce drugiemu. Było oczywiste, że w tak licznej grupie ludzi, którym przyświecały tak różne cele, musi dojść do polaryzacji stanowisk i podziału na podgrupy. NSZZ Solidarność zależało na tym, by jak najszybciej zakończyć ten dziwny strajk, wygrywając jak najwięcej z przedstawionych przez górników postulatów płacowych. Wkrótce dołączyliśmy do nich żądanie zapewnienia nierepresjonowania strajkujących i zapłaty za „przestrajkowane” dni.

Ryszardowi Zbrzyznemu, reprezentującemu OPZZ, zależało jednak wyraźnie na skompromitowaniu Solidarności, na udowodnieniu, że działacze nie radzą sobie ze strajkiem. Usiłował wraz z kolegami przedłużyć go, podważając wstępne ustalenia z dyrekcją i zgłaszając ciągłe zastrzeżenia do sposobu prowadzenia rozmów. Zbrzyzny odegrał w tym strajku wyjątkowo niechlubną rolę, usiłując skompromitować dyrektora Kombinatu, Mariana Pawlaka przez podważenie w oczach ministerstwa jego kompetencji do prowadzenia rozmów z komitetem strajkowym.

Po stronie NSZZ Solidarność opowiedzieli się w końcu przedstawiciele Solidarności Walczącej, którzy na początku przyjęli pozę neutralnych obserwatorów. Jeden z nich – Marian Krzemiński, który reprezentował w strajku Rudną Północną, był szczególnie pomocny – i szalenie pomysłowy – w czasie wystąpień na cechowniach, gdy trzeba było przekonać kilkusetosobową grupę strajkujących do przyjęcia konkretnych rozwiązań. Po zakończeniu tego strajku przyznał, że była to dla niego prawdziwa szkoła polityki.

Wyjątkowo sielankowej atmosferze – strajkujący górnicy piekli baranki i opalali się w majowym słońcu – towarzyszyło skrajne wyczerpanie i napięcie solidarnościowej części komitetu, którego członkowie w ciągu dnia pilnowali porządku na szybach, a w nocy byli nękanymi rozmowami z dyrekcją, gdyż ta wybierała sobie godzinę 1.00 – 2.00 na przedstawienie kolejnych propozycji. W międzyczasie musieliśmy kontrolować ruchy opozycji z OPZZ. Obawialiśmy się też możliwości spacyfikowania kopalni przez ZOMO (było to wielokrotnie sugerowane przez dyrekcję). Doszło do tego, że solidarnościowa część komitetu wpadła na pomysł rozpoczęcia głodówki protestacyjnej – pomysł, którego moim zdaniem na szczęście, nie wprowadzono w życie.

Strajk w Zagłębiu Miedziowym był różnie komentowany, nawet przez działaczy NSZZ Solidarność z innych części kraju. Mogę służyć dowodami na to że ci, dzięki którym NSZZ Solidarność przetrwała długie lata podziemia, wspaniale spisali się, gdy przyszło im